

zdarzenia

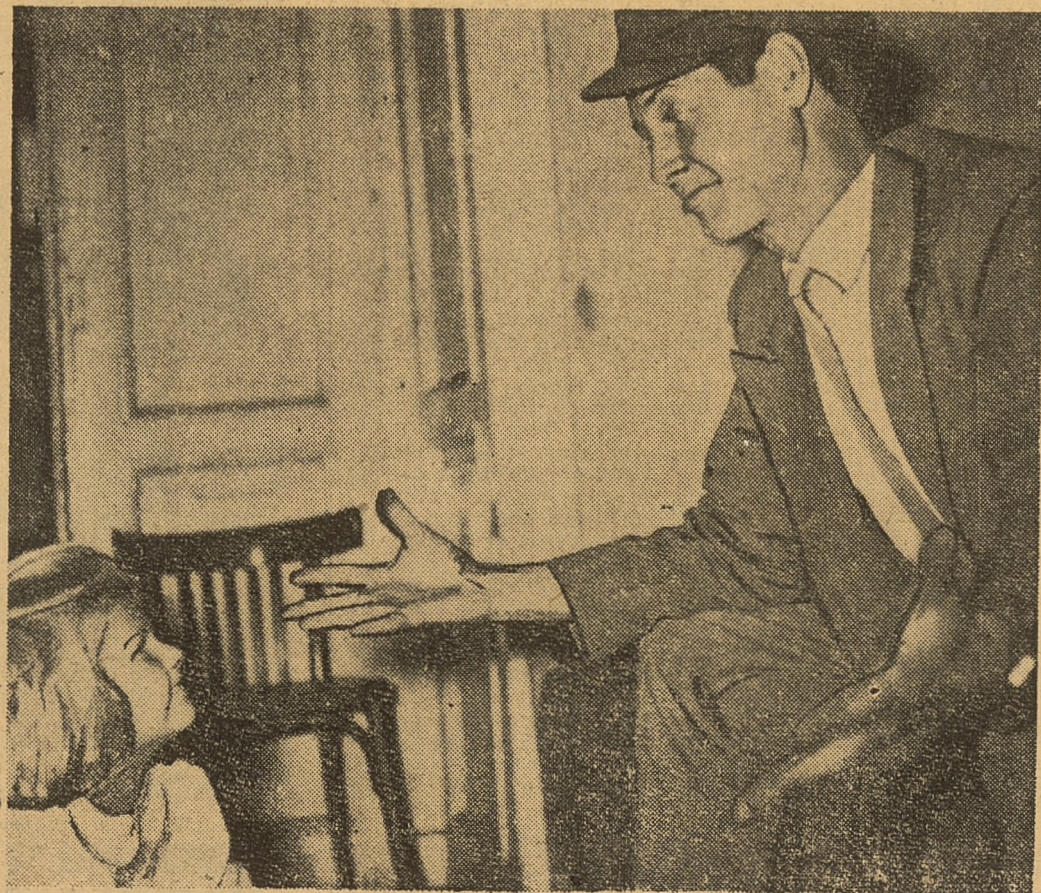
KRAKÓW 6 IX 1959 r. ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY GAZETY KRAKOWSKIEJ Nr 36 (122) CENA ZŁ 1.50



„Kubuś” się reklamuje..

Foto WIESŁAW KSIĄŻEK

„WAKACJE” STUDENCKIE



Studenci opowiadają także bajki...



„Chleb, miłość i...”

z Sopią Loren i Vittorio de Sica, którzy w kolorowej panoramie włoskiego krajobrazu zabawią nas miłosnymi perypetiami.

**FILMY K T Ó R E !
ZOBACZYMY !**



„Lekarz i znachor”

włosko-francuskiej produkcji komedia z udziałem plejady gwiazd, którym jak wskazuje tytuł kazano uczestniczyć w konflikcie postępu z zacofaniem.

...2 piki, 3 trefle, trzecie karo, trzeci pik... zza drzwi słychać głosy licytujących. Wchodzimy do środka... W małym pokoiku kilkanaście osób. Powietrze pełne dymu papierosowego. Pod ścianą „urzęduje” czwórka brydżystów. To tutaj, przy ul. Rakowickiej 27 mieści się sztab „Kubusia”, studenckiego punktu usiugo-

gowego. Brydżysty i inni bezrobotni (tak siebie określają) oczekują właśnie na wpłynięcie zgłoszeń do pracy. „Kubuś” w każdej chwili dysponuje odpowiednią ilością studentów, chętnych wykonać jakiegokolwiek zlecenie.

(Dokończenie na str. 3)

**NAJKRÓCEJ
I NAJCIĘKAWIEJ**

EISENHOWER W EUROPIE

Prezydent Eisenhower, który w środę 26 sierpnia przybył do Europy, rozpoczął swą podróż od wizyty w Bonn. W czasie powitania Eisenhowera rewizjonisci niemieccy prowokacyjnie przy pomocy transparentów i hasel wysuwali żądania stworzenia Niemiec w granicach z 1939 roku.

W rozmowach Eisenhower i Adenauer poruszyli sprawy zbrojeń atomowych, stosunki między Francją a NRF oraz stosunki NRF z krajami socja-

listycznymi, głównie z Polską i Czechosłowacją. Eisenhower nie poparł żądań rewizjonistów.

Z Bonn Eisenhower udał się do Londynu. Treść rozmów nie została ujawniona. Z rozmowy Eisenhowera z Macmillanem przed kamerą telewizyjną wynika, że dojdzie do spotkania na szczycie.

W Paryżu treścią rozmów Eisenhowera z de Gaulle'm były problemy wymiany wizyty między szefami rządów USA i ZSRR, roli Francji w NATO i sprawy Algierii. Po rozmowach paryskich prezydent Eisenhower powrócił do USA.

**CZARNE SZTANDARY
NAD RUHRĄ**

30 tysięcy górników demonstrowało w Dortmund i Oberhausen pod czarnymi sztand-

ami — przeciwko redukcjom, zamykaniu kopalń i innym ograniczeniom zarobków. Do tej chwili z powodu kryzysu węglowego w Zagłębiu Ruhry zredukowano już 52 tys. górników.

**XX LECIE WYBUCHU
II WOJNY ŚWIATOWEJ**

W całym kraju odbyły się pod hasłem „Nigdy więcej wojny” liczne wiece i manifestacje ludności. W Warszawie do zgromadzonych przemawiał premier Józef Cyrankiewicz. W Gliwicach manifestowano pod gmachem radiostacji, w której w 1939 hitlerowcy dokonali prowokacyjnego napadu, aby uzyskać pretekst do wojny z Polską. W Gdańsku wiec odbył się przed gmachem Poczty Polskiej, w którym bohaterstwo bronili się Polacy przed Niemcami.

**NOWY ROK SZKOLNY
ROZPOCZĘTY**

Ponad 5 milionów młodzieży rozpoczęło nowy rok szkolny. 760 tys. dzieci urodzonych w 1952 r. rozpoczęło po raz pierwszy naukę. 140 tys. absolwentów szkół podstawowych rozpoczęło naukę w szkołach zawodowych i technikumach. 73 tys. młodzieży uczy się w klasach ósmych.

**Kto pojedzie
z Chruszczowem do USA**

Premier Chruszczow przywozi do USA swoją żonę, 2 córki, syna i zięcia. Żona Chruszczowa ma wyższe studia humanistyczne, jest doskonałą pianistką i zna język angielski. Zięć Chruszczowa jest naczelnym redaktorem „Izwestii”. Oprócz tego Chruszczowowi towarzyszyć będzie od 35 do 40 literatów i dziennikarzy m. in. Szolochow, Ilja Erenburg, dramaturg Korniejczuk, poeta Twardowski.

**ZDARZENIA
TYGODNIA**

W XV dzielnicy Paryża dwie bandy uzbrojonych w palki, tomie żelazne i łańcuchy wyrostków postanowiły zatłoczyć między sobą para-

chunki. Ponieważ do starcia nie doszło, gdyż bandy minęły się przypadkowo, jedna z nich, zawiedziona pomyłką zaatakowała gości w kawiarni przy ulicy Crix-Nivert, demolując całą lokal.

W Kaliszu po zakończeniu zawodów meczu m. kaliskim KS A Turcovią, doszło do bójki, w czasie której zawodnik Turcovi Jański uderzył butelką w głowę sędziego liniowego. Jańskiego aresztowano do MO.

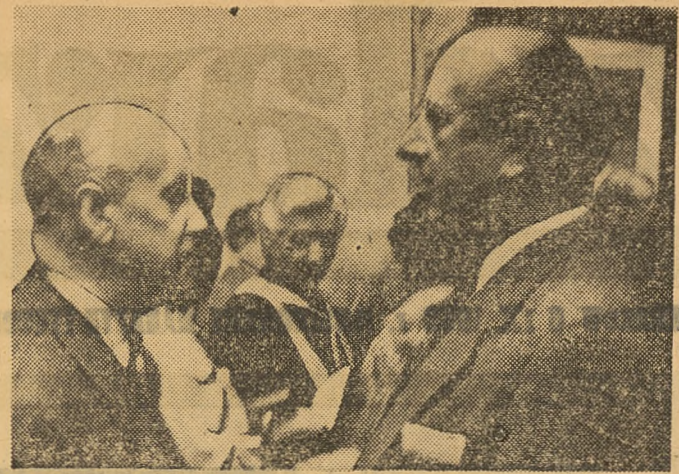
W jednej z rzek na Florydzie znaleziono żaby, które posiadały więcej niż cztery łapy oraz „dodatkowe” oczy. Prawdopodobnie uległy one wynaturzeniu na skutek działania radioaktywnych strontów.

Jak informuje „Trybuna Robotnicza”, mieszkańcy Katowic zjadają miesięcznie 170 ton wędlin i 20 ton innych wyrobów mięsnych. Gdyby z tych produktów ułożyć jeden wielki sznur, miąłby on 270 km długości czyli ciągnąłby się mniej więcej od Katowic do Poznania!

W Jerzmanowicach, w pow. olkuskim archeolodzy badają groty „Jaskinia Nietoperzowa”, poszukując tam śladów pobytu człowieka z epoki kamiennej. Dotychczas natrafiono na wiele odpadków obrobionego kamienia i kości zwierząt, co pozwala przypuszczać, że przed dwustu tysiącami lat mieszkali w tej grocie ludzie.

Kiedy przez kilka dni bawili w Zielonej Górze Anglicy, miejscowi kelnerzy zmienili się do niepoznania, prześcigając się w szybkości, grzeczności i sprawności. Niestety Anglicy wyjechali i wszystko wróciło do normy.

Przed sądem w Poznaniu stanęła 51-letnia Pelagia Czerwińska, która od 1955 złodziała popełniła 72 różne przestępstwa, szczególnie — wyłudzenia pieniędzy i oszustwa.



Dwie generacje krakowskie — Antoni Waśkowski i Antoni Wasilewski. foto: Krzysztof Małski

ZDARZENIA

**AMERYKAŃSKA
SWOBODA
DZIAŁANIA**

Jeśli Amerykanie dadzą wyraźne do zrozumienia, że niezależnie od tego, co myślni — USA będą szyć zdecydowanie naprzód w celu dogadania się z Rosją, aktywne opozycja ze strony państw europejskich może ulec zmniejszeniu. Istnieje punkt, poza którym zachodnia Europa nie może ograniczać swobody działania USA. (STATESMAN).

**RADZIECKIE
PATENTY**

Zawarto ostatnio porozumienie między ZSRR a USA, na mocy którego oczekuje się, że jeszcze br. zarejestrowanych zostanie w Amerykańskim Urzędzie Patentowym 2 tysiące radzieckich patentów. Urzędnicy Amerykańskiego Biura Patentowego orzekli, że wiele z nich to patenty o doniosłych znaczeniach. (NEW YORK TIMES).

**AMERYKANIE
W ZSRR**

Szacuje się, że w roku 1959 przybędzie do Związku Radzieckiego 15 tys. Amerykanów. (NEWSWEEK).

ZDARZENIA W PLASTYCE

**WERNISAŻ
WASILEWSKIEGO**

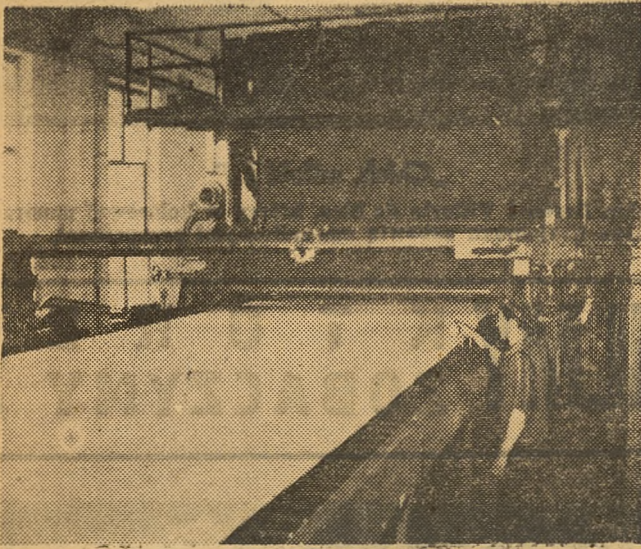
Przypomniady się najlepsze krakowskie czasy Pałacu Sztuki, kiedy niedzielnym południem, w porze nadto stosownej, ścignęli tłumem chętni wrażeń, nieraz z tych żrących do tego co dzieje się dziś w „szacownych” murach Pałacu, przyszedł też obojętni tym sprawom — okazja była nie lada: otwarcie wystawy ANTONIEGO WASILEWSKIEGO.

Słuchacze niedzielnego felietonu liczyli na to, że nie zawiedzie ich Wasilewski rysownik, Wasilewski malarz... i chyba się nie przeliczyli. Wasilewski rysuje — tak samo jak pisze: pod gust krakowski. Nie bez znaczenia są tu zapatrywania wystawy na dzisiejszą plastykę, nie-najlepsze dla tej.

Dawnemu rysownikowi „Wróbi na dachu” nie zbywa i dziś w rysunkach humoru. Częściej jednak przedstawia się nam Wasilewski jako rysownik — obserwator. To niewątpliwie lata wojny wpłynęły tak na artystę. Owe lata sprzyjały takim zajęciom — ołówkiem trafiał nieraz do ręki tym, którym dokuczyla wojenna vegetacja. Jenieckie obozy, długie wieczory okupacji — nie wolne od tej zmyry — życie na emigracji — wykształciły wielu rysowników. Wasilewskiemu przyszła jeszcze w sukurs duża w Anglii estyma dla rysunku.

LECH PRZYBYLSKI

CO SIĘ W POLSCE BUDUJE



Na zdjęciu: Maszyna odwadniająca płyty pilśniowe.

Niedawno w Nidzje na Mazurach został uruchomiony nowoczesny Kombinat „Zakłady Płyt Pilśniowych”. Płyty te, tak poszukiwane przez budownictwo, przemysł meblarski i okrętowy, produkuje się tu z odpadków drzewnych.

Kombinat wyposażony jest w najnowocześniejsze maszyny produkcji szwedzkiej, i z NRF, a sam proces produkcji został całkowicie zautomatyzowany. Produkcja roczna wynosi 8 tys. ton płyt porowatych i 12 tys. płyt twardych.

BOHDAN DROZDOWSKI

DRZEWO ZAKWITAJĄCE

Jesień jest najpiękniejszą porą roku. Dojrzałość barw i owoców, niezbyt piękne słońce, mgły niskie i melancholijne... Jesienią człowiek lubi rozmyślać nad przemijalnością wszystkiego, co ludzkie i nieludzkie. Dwadzieścia lat temu jesień była przepiękna, choć drzewa dwa razy nie kwitły. Dwadzieścia lat temu profesor Wyka był w moim dziesiętnym wieku, dziś profesor z przerażeniem stwierdza, że stuka mu już pięćdziesiątka (patrz, jego znakomity szkic zamieszczony w „Życiu Literackim” z 30 sierpnia). Dwadzieścia lat temu przeżywałem obalenie Iłży, widziałem setki żołnierskich trupów, ale w mojej pamięci pozostali ci martwi ludzie jako coś w rodzaju smutnej dekoracji utopionej organicznie w dojrzały wrzesniowy krajobraz. Potem przychodziły co roku rocznice. „Wrzesień” stawał się pojęciem abstrakcyjnym, symbolem, pod który tylko ludzie dorosli potrafili podkładać konkretne obrazy. I nagle moje oczy zostały uderzone dwoma zdjęciami: pierwsze przedstawiało przepiękny rajd ułanów i arugie — trupa żołnierza polskiego, z twarzą w murawie, z bezwładną odwróconą otwartą dłońią ku niebu. Rzed żołnierzem leżał masywny, ciężki karabin z bagnetem utylizowanym w bocie. I w tej sekundzie „wrzesień” przestał być symbolem, stał się śmiercią. To jest na pewno prawdziwe, że pamięć ludzka ma skłonności do abstrakcji. Może przez samoobronę przed konkretnymi, które bywają tak bardzo okrutne? Pamięć jest na pewno rodzajem samoobrony, eliminuje okrucieństwo, utwierdza rzeczy łagodniejsze i ciepłe.

Dwadzieścia lat to jedna trzecia życia statystycznego człowieka. W ciągu dwudziestu lat urodziły się i wyrosły w państwach, ongi ze sobą walczących, pokolenia dzieci, dla których rocznica wrzesnia jest już taką samą historią jak wojna trzydziestoletnia, albo koronacja Bolesława Chrobrego. Profesor Wyka pisze o wiadomościach roczników wojennych, zdających dziś na wyższe uczelnie i stwierdza, że nie bardzo wiedzą już, ile trwała tamta kampania i nie odróżniają obozów koncentracyjnych od obozów jeńców wojennych. W tym samym czasie około

80 procent dzieci niemieckich w NRF nie wie, kim był niejaki Hitler. W ciągu dwudziestu lat wyrosły pokolenia, którym można wpoić ideę równości i sprawiedliwości, pokolenia, którym można zakazać używania słowa „nienawidzę”. Ale publicyści załamują ręce: jak można było dopuścić, ażeby dorastający Niemcy już nie pamiętali, kim był Hitler i że za jego sprawą zginęło 55 milionów ludzi. Ten protest nie jest jednakże w całości racjonalny. Nie można domagać się od ojców, by przekazywali swoim dzieciom pełną prawdę o czynach człowieka, któremu przeczeń w różny sposób służyli i wykonywali jego polecenia z prawdziwie germańską gorliwością. Według mnie to jest raczej objaw pozytywny. Ale dopiero gdy ta metoda ukrywania przeszłości przed świadomością wstępujących pokoleń przejmowana jest przez państwo — wtedy zaczyna się groźba. W podręcznikach najnowszej historii Niemiec „epizod” panowania nazistów jest zatłuwiony na paru kartkach. Może bowiem wyrastać pokolenie, któremu bardzo łatwo będzie wpoić przekonanie o krzywdzie Niemców. Pokolenie „mścicieli” tej „krzywdy”. Jego ojcowie nie mają moralnego prawa do użycia tego słowa, dlatego izolacja młodzieży od prawdy przeszłości jest groźna dla przyszłości.

Grzechy ojców lubią się odbijać na synach. Ze więc Niemcy wychowują pokolenia „skrzywdzonych” — mogą to zrozumieć. Taką jest ich „racja stanu”. Ale że polscy rodzice, polscy nauczyciele — produkują ignorantów najnowszej historii Polski — to jest już przestępstwo. Dlatego nie mogę się zgodzić z profesorem Wyką gdy pisze: „Nieuctwo? Gderalem pedagogicznie i zarazem zazdrościlem i zarazem życzyłem. Niechaj wszelkie polskie wrzesnie pozostaną za progiem ich przeżytego doznania, ich własnej w tym sensie świadomości”. Niech zostaną poza progiem doznania — na to zgoda. Ale poza progiem świadomości, w każdym sensie — nie ma zgody. Można sobie bardzo łatwo wyobrazić konflikt między dzisiejszymi młodymi Niemcami za lat 20 a młodymi Polakami za tyleż. Ludzie, którzy nie wiedzą, czym były w ogóle obozy koncentracyjne, nie

potrafią odeprzeć ataków, politycznych choćby — rówieśników z za zachodniej granicy, którzy wiedzą tyle samo, ale „zostali skrzywdzeni” w roku 1945.

Ciągle gnębi mnie przekonanie, że nie potrafimy przekazać światu ani nawet własnym dzieciom całej wiedzy o martyrologii minionej wojny. Tysiące turystów np. odwiedzających Warszawę i jej Stare Miasto — podziwiają, owszem, malowidła i stylowość, ale nikomu nie przyjdzie do głowy, by ich najpierw zapędzić, obowiązkowo, do sali kinowej, gdzie by się im pokazało jak wyglądało to Stare Miasto po Powstaniu. Ci ludzie nie umieją sobie w ogóle wyobrazić takich ruin, takiego potwornego skłębienia cegieł i żelastwa i ciał ludzkich. Wyjeżdżają z Warszawy znowu z abstrakcyjnym, naczynym przekonaniem, że Warszawa jest bohaterska”, bo była zniszczona, ale jak zniszczona — nie wiedzą i nie wyobrażają sobie. Nieliczni wyjątki wybitni goście, jacy odwiedzają nasz kraj, którym pokazuje się to i owo z dokumentów — wyjeżdżają wstrząśnięci. Sam Nixon, skąd inąd polityk i wiceprezydent wielkiego mocarstwa finansującego odbudowę Niemiec zachodnich — był poruszony do głębi tym, co mu pokazano. On także sobie nie wyobrażał, że to było aż takie okropne. Powiedział: to się już nigdy nie może powtórzyć. Cześć pokazują wszystkim swoje jedyne Lidice, na starym mieście w Pradze konserwują dwie zniszczone w czasie powstania kamienice, sam je oglądałem w roku 1949. Były nieodbudowane, w ich ścianach wmurowano tablice informacyjne. Każdy turysta musi je zobaczyć, aby docenił bohaterstwo. My wyobrażamy sobie, że wszyscy cudzoziemcy wiedzą o nas tyle samo. Nie wiedzą ani cudzoziemcy, ani nasze własne dzieci. Strzeżmy się czasu. Czas zaciera ślady w przyrodzie bez odwołania, ale w pamięci pokoleń ślady zbrodni dokonanej na „przodkach” (my jesteśmy także już przodkami!) można podtrzymywać i utwierdzać. Samo wznoszenie pomników nie wystarczy. A drzewa nie zawsze kwitną dwa razy.

BOHDAN DROZDOWSKI

(do art. „Wakacje studenckie”)

Przenieść taką piramidę to nie lada sztuka...

PRZED PROCIESEM W BIAŁYMSTOKU

Akta tej sprawy liczą dwa tysiące stron. Prokurator powołał już 150 świadków. Specjalna komisja biegłych — naukowców przygotowała opinię zawartą na 86 stronach maszynopisu. Na trzy miesiące przed rozpoczęciem procesu zgłaszają w nim swoje uczestnictwo, jako sprawozdawcy sądowi, dziennikarze zagraniczni.

Ale nie samo przestępstwo i meritum sprawy, interesujące niewątpliwie świat lekarski i prawniczy, wywołuje tak wielki „szum” wobec procesu w Białymstoku. To fakt, że oskarżona ujawniła tajemniczą skrytkę z radem w willi w Poroninie, spowodowała powszechne zainteresowanie wokół jej osoby i sprawy. To oczekiwanie, że podczas procesu ujawni ona dalsze rewelacje radowe a zwłaszcza wyjaśni, dlaczego prof. Łukaszczyk schował rad, jest przyczyną takiego pośpiechu korespondentów zagranicznych.

Kim jest dr Amelia Kostkowska i o co jest oskarżona?

KARIERA

Studia medyczne kończy już po wojnie i jeszcze jako studentka zostaje asystentem w warszawskim Instytucie Radowym im. Marii Curie-Skłodowskiej. Tu zainteresował się nią znany specjalista w dziedzinie onkologii prof. dr Łukaszczyk, pod którego kierunkiem pracuje do czasu ukończenia studiów a następnie jako starszy asystent Instytutu robi specjalizację II stopnia w dziedzinie onkologii. Jednocześnie młoda lekarka jest sekretarzem prof. Łukaszczyka, ściśle z nim współpracując w

rozmaitych wydawnictwach naukowych.

Dr Kostkowska utrzymując bliskie stosunki z profesorem, odwiedza go czasami w jego willi w Poroninie. Tu jako jedyna osoba, poznaje jego największą tajemnicę: na terenie posesji ukryty jest rad. Być może zna też inną tajemnicę dr Łukaszczyka, o której mówiono w środowisku lekarzy-onkologów: marzeniem profesora jest założenie własnej kliniki onkologicznej.

Tymczasem w Instytucie Radowym dr Kostkowską spotykają pierwsze niepowodzenia. Jej dość wyeksponowana pozycja i tarcia z innymi kolegami powodują rozdzwieki i w rezultacie — mimo opozycji profesora — w 1953 r. przenosi się do krakowskiego Instytutu Onkologii. Tu czekają ją nowe konflikty i po półrocznym pobycie następuje druga przeprowadzka, tym razem do Białegostoku.

POWODZENIE I SŁAWA

Trudno sobie wymarzyć lepsze miejsce dla ambitnego młodego lekarza ze specjalizacją w onkologii. W Białymstoku założono Akademię Medyczną. Powstawały kliniki, szpitale, przychodnie. Lekarze-specjaliści cenieni byli na wagę złota.

Dr Kostkowska zostaje ordynatorem oddziału onkologii w Wojewódzkim Szpitalu Położniczo-Ginekologicznym a jednocześnie kierownikiem Wojewódzkiej Poradni Onkologicznej. Poza tym rozpoczyna praktykę prywatną, z miejsca zyskując dużą popularność i powodzenie. W Bia-

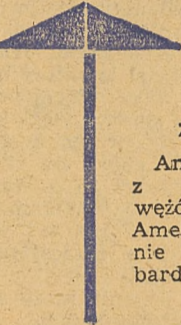
(Ciąg dalszy na str. 10)



Walka z anakondą

Anakonda to jeden z najgroźniejszych węzów południowej Ameryki. Schwyta nie go należy do bardzo niebezpiecz-

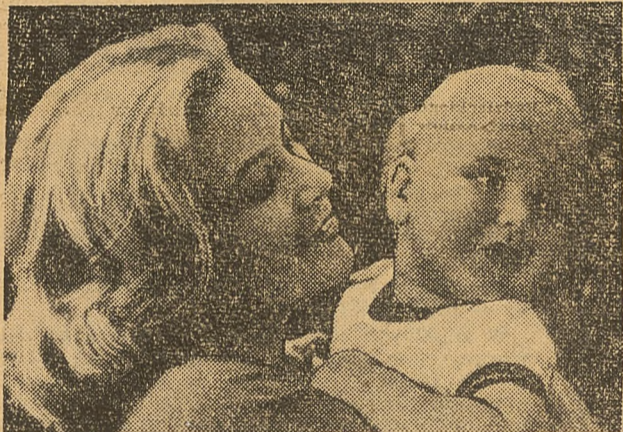
nych zajęć. Jednym ze specjalistów w tej dziedzinie jest Mike Tsalikis. Na zdjęciu górnym: łowca w walce z bestią, na dolnym ładowanie ujarzmionego potwora do worka.



Hemingway klaszczący

Główny pisarz Hemingway, przebywający obecnie w Hiszpanii, odwiedził miejscowość Pamplonę, którą wsiawił

w jednej ze swych powieści. W czasie pobytu pozyskał sobie ludność bezpośredniością w obcowaniu i wesolnością. Na zdjęciu pisarz klaszczący w czasie żywiołowej zabawy.



Grace w roli matki

Jedno z najnowszych zdjęć księżnej Monaco Grace z synkiem Albertem wykonane przez słynnego fotografa Howella dla prywatnego albumu. Księżna czuje się w roli matki doskonale.

WIESŁAW
KSIĄŻEK

„WAKACJE STUDENCKIE”

(Dokończenie ze str. 1)

— Jak dużo otrzymujecie ofert dziennie?
— „W tej chwili nieco mniej, bo jest sezon „ogórkowy”. Ale są okresy, że dostajemy 30—40 zleceń dziennie”.
— A propos sezonu ogórkowego. W którym okresie macie najbardziej pracy?
— „Też trudno odpowiedzieć na to pytanie. Bo np. w okresie świąt jest sezon na sprzątanie mieszkań, w maju i czerwcu na korepetycje, teraz zacznie się znowu masowe odprowadzanie dzieci do szkół”.
— Jaki zakres usług wykonujecie?
— „Jesteśmy prawie że uniwersalni, oczywiście wyłączając najbardziej skomplikowane naprawy (np. radioaparaty). Zresztą proszę przeglądnąć naszą księgę zgłoszeń, w której notujemy wszystkie wykonywane przez nas prace”.
— Otwieram na chybił trafił. Cytuję do słownictwa... Korepetycje dla dziewczynki w IX klasie, może być Pan, ale żeby był bardzo poważny... Wyprowadzanie starej, łagodnej suczki na spacer 2 razy dziennie... Gotowanie obiadów przez 10 dni... Na miesiąc do pomocy w schronisku na Leskowcu, wynagrodzenie 450 zł oprócz wyżywienia... Przedaż biletów do Teatru Kolejowego, po 50 gr od biletu dla sprzedającego... mycie posadzki w sali operacyjnej... Obieranie śliwek w ogrodzie... sprawdzenie, co mąż robi w godzinach pracy...
— O, to ciekawe! Jak się spisał „Kubus” w roli Sherlocka Holmesa?
— „Całkiem... całkiem... Najlepszy dowód, że otrzymał dalsze takie oferty.

Przychodziłem rano przed ósmą przed biuro tajemniczego pana X — mówi jeden z detektywów. Proszę sobie wyobrazić, że czasami trzeba było siedzieć „kołkiem” kilka godzin pod drzwiami jakiegoś urzędu. A i nie specjalnie płatna, bo zaledwie 10 zł za godzinę. Po kilku dniach obserwacji okazało się, że Pan X nie zdradza jednak swej żony.”
— A inne ciekawe zlecenia?
— „Sprzątałyśmy kiedyś hol po malarzach w oddziale miejskim Narodowego Banku przy ul. Basztowej. Praca była bardzo trudna i z powodu krótkiego czasu (tylko niedziela w nocy) musieliśmy ją doskonale rozplanować. W czasie sprzątania zdarzył się ciekawy wypadek. Jedna z koleżanek przypadkowo nacisnęła dzwonek alarmowy, zawiadamiając o czywiście milicję. Gdyby nie błyskawiczny refleks jednego z pracowników banku, który momentalnie odwołał fałszywy alarm, z pewnością za kilka minut bank byłby obstawiony szczerlnie kordonem milicji.
Jeśli chodzi o płace, to doskonale stawki otrzymały nasze modelki w czasie ostatniego międzynarodowego konkursu fryzur damskich w halu Wisły. Za jednorazowy występ dostały one po 500 zł. Oczywiście nie muszą chyba dodawać, że babki musiały być „super”, no i musiały zgodzić się na robienie wszelkich eksperymentów... na swojej głowie.
Kiedyś nastąpiła awaria w gmachu PKO. Po zatknięciu się jakiegoś kanału woda zalała skarbiec, piwnice i kotłownię. Wezwana straż pożarna najpierw pompami wyloczyła wodę, a później do

akcji ruszył „Kubus”. Wybraliśmy wtedy obrzymie ilości wiader, a na końcu trzeba było wybierać reszki wody szmatami. Jeśli już jesteśmy przy straży pożarnej, to czterech naszych kolegów konwojowało samochody straży, przewożone koleją na trasie Koszalin — Kraków. Cała akcja trwała aż 10 dni, i byłaby jedną z najtrudniejszych jakie wykonywał „Kubus”.
W okresie upałów z początkiem lipca przez 3 godziny polewaliśmy wodą dach biura projektów, by w ten sposób przynieść ulgę pracującym w środku urzędnicom. A że przy okazji wylaliśmy trochę wody do środka, to już inna sprawa.
Musimy się też pochwalić, że tylko dzięki nam otwarte zostały w terminie zbiory Muzeum Narodowego w Sukienicach.
— ???
— Otwarcie Muzeum, jak Pan pamięta nastąpiło o godz. 11. Otóż całą noc poprzedzającą otwarcie „Kubus” pastował i froterował posadzki we wszystkich salach. Mamy więc też zasługi dla kultury.
Zresztą czego ci ludzie już nie wymyślą. Sprzedawaliśmy już ciuchy, i starzyzną, byliśmy porządkowymi na meczu żużlowym (przy okazji oglądaliśmy zawody), często towarzyszyliśmy samotnym... Dzwonek telefonu... 215-32 — „Kubus” słucham — zgłasza się dyżurny... Sześciu ludzi do mycia okien? Już ich posyłam...
Tekst i zdjęcia
WIESŁAW KSIĄŻEK

Jerzy bober UCIECZKA OD SIELSKOŚCI?

Gospodarz z tej podmiechowskiej wsi — jest małorolnym. Nie nosi butów z cholewami, ani waśów. Dwie dziewczyny ubrane z „miejska” — to jego córki. Radio w izbie głosi o cybernetyce, a tylko strzechy jest naprawdę sioniana.

Nic tu nie polega na fikcji. Wieś ma swoją nazwę, gospodarz — nazwisko. Mówi inteligentnie, ze swadą i znajomością spraw nie tylko gospodarczych, choć ukończył zaledwie siedmioklasówkę pobliskiej szkoły.

— Córki wykształciłem, obie zdały maturę. Wyszły za mąż za chłopaków z miasta, na stanowiskach. Przyjeżdżają na wieś tylko w okresie lata, żeby wypocząć. Najstarszy syn zdobył dyplom magistra ekonomii i pracuje jako referent w Banku Narodowym. Został mi jeszcze najmłodszy syn. Właśnie skończył tutejszą Szkołę Rolniczą. Chciałbym, żeby się uczył dalej, w Czernichowie — ale, jak pan widzi — coraz to ubywa rąk do pracy... Owszem, nawet jestem zadowolony — że tak mi się udało dzieci wykształcić, ale — ile mnie to kosztowało wyrzeczeń, zaciskania pasa, częściowej sprzedaży i tak mizernego dobytku — tego nikt, mało obznajomiony z gospodarką tutaj, nie zrozumie... Więc walczę, żeby ostatnie dziecko nie odeszło z domu. Niech się uczy i czernichowskie egzaminy zdaje zaocznie, byle tu razem z nami siedział. Nawet córki i najstarszy syn zrezygnowali już ze śpiat, które im się z ojcowizny należą — i oni także namawiają brata do gospodarzenia na ziemi. Chcą jedynie mieć tu kąta na wakacje...

Problem, można rzec, zarysowany mocno — aczkolwiek jeszcze nie wszędzie na wsi występujący w takim nasileniu. Nie zamierzam zbyt pochopnie uogólniać. Tym niemniej, warto się owym sprawom przyjrzeć od strony statystycznej, aczkolwiek i statystyka nie uchwyliła jeszcze w pełni procesu odchodzenia ludności wiejskiej — do miast, od zajęć rolniczych — do przemysłu.

Według danych Narodowego Spisu Powszechnego z r. 1950 — było zatrudnionych poza rolnictwem w woj. krakowskim — 230 tys. mieszkańców województwa. W ciągu 9 lat do chwili obecnej — liczba ta wzrosła o 32 proc., czyli o jedną trzecią (390 tys.). Przyczyna? — Industrializacja województwa i m. Krakowa (jako woj. wydzielonego) — oraz terenów przyległych (Śląsk).

Na ogólną liczbę ludności woj. krakowskiego (1.992 tys.) przypada 1.082 tys. osób w wieku zdolności do pracy, tj. mężczyzn od 16 do 59 lat i kobiet od 16 do 54 lat. Z tego 26,4 proc. mieszka w miastach, zaś 73,6 proc. — na wsi.

Jaki stąd wniosek? Prosty. Oto preferencja zdolności do pracy jest większa w miastach. Oznacza to, że ludzie w wieku zdolności do pracy uciekają ze wsi, gdzie pozostaje więcej dzieci i starców!

Taki stan dotyczy przede wszystkim Chrzanowskiego, Oświęcimskiego i miast wydzielonych (Jaworzno, Tarnów, Zakopane), z wyjątkiem N. Sącza.

Bilans eksperymentalny 1958/1959, przeprowadzony przez Wydz. Demograficzny WKPG na odcinku miasto — wieś wykazuje, że w ciągu jednego tylko roku (1958) ilość mieszkańców miast województwa (oprócz m. Krakowa) w wieku zdolności do pracy, czyli potencjał produkcyjny — wzrosła o 4 tys. osób! Świadczy to o szybkim tempie wprowadzania młodych roczników, jako wartości produkcyjnej — ale nie poprzez zwiększony przyrost naturalny (!) — lecz tylko na skutek znacznej emigracji ludności wiejskiej do miast.

Równocześnie (1958) na terenie wsi całego województwa liczba mieszkańców (znowu: wiek zdolności do pracy) spadła o 6 tys!

Mamy zatem zjawisko przesuwania się elementów pełnotwórczych i aktywnych — ze wsi do miast. Pozostają jedynie starcy. Szczególnie można to zaobserwować na przykładach pow. miechowskiego i proszowskiego.

W związku z uprzedyskutowaniem województwa i m. Krakowa oraz woj. katowickiego (sąsiadujący okręg przemysłowy!) — dają się zauważyć na podstawie bilansu miasto — wieś z r. 1958 — tendencje obniżenia się siły roboczej (w rolnictwie) na terenach pow. brzeskiego, dąbrowskiego, limanowskiego, miechowskiego, myślenickiego, suskiego i olkuskiego.

Wpływ na produkcję rolną (w sensie odwrotu od niej) ma również ruch budowlany na wsi, wytwórczość materiałów budowlanych — czyli aktywizacja wsi (także i usługi).

Mimo to, ogólnie biorąc, w skali wojewódzkiej — nadwyżki siły roboczej u samych tylko mężczyzn, wynoszą ok. 50 tys. ludzi (nawet przy skłonnościach spadkowych)!

Dysproporcja polega na tym, że prawie cała ta nadwyżka przypada na... Chrzanów, Jaworzno i Oświęcim (56 proc. przemysłu) oraz — na Oświęcim, Chrzanów, Jaworzno (50 proc. budownictwa!).

Tam, gdzie spotykamy niedobór rąk do pracy — są możliwości zatrudnienia — ale... brak mieszkań (określi uprzedyskutowanie), natomiast rezerwy występują na terenach powiatów rolniczych (Bochnia, Brzesko, Limanowa, Myślenice, N. Sącz), które nie przejawiają większej aktywności w kierunku industrializacji.

Np. Śląsk, mający możliwości i dbający znacznie szerzej o zaplecze socjalne (kwatery itp.) — jest magnesem dla nowych pracowników przemysłu — i stąd zrozumiałe staje się pęd siły roboczej w tamtą stronę, zwłaszcza z pow. nowotarskiego, limanowskiego i nowosądeckiego.

Dlatego, celem zapobieżenia utracie ludzkiego potencjału produkcyjnego — należy poświęcić więcej troski o mieszkania, urządzenia socjalne i organizację dojazdów do pracy (np. Zakłady Obuwnicze w N. Targu)!

Wymowa cyfr stawia wyraźny problem. Czy niepokój, spowodowany coraz liczniejszym odpływem rąk do pracy ze wsi jest uzasadniony? Czym należy tłumaczyć tak szybką emigrację ludności wiejskiej do miast?

Sprawa zamyka się właściwie w dwóch zasadniczych przyczynach: w atrakcyjności miasta i jego wyższej stopie życiowej. Chodzi więc o stworzenie takich możliwości na wsi, które by — bodaj częściowo — zniwelowały zbyt rażące różnice na korzyść miasta. Bo przecież mechaniczne zahamowanie ucieczki ze wsi — niczego konstruktywnego nie wniesie, poza niechęcią do administracyjnych pociągnięć.

Jakie są możliwości podniesienia poziomu życia na wsi? Chyba wyższe ceny skupu np. żyweca (choć jest to kwestia równie delikatna, co i dyskusyjna), lepsze warunki życia (urządzenia socjalne), motoryzacja. Z tą ostatnią wiąże się problem dróg. Coż tu mówić o mechanizacji, gdy brak dróg! A to przecież traktory i całe, złożone zagadnienie postępu technicznego na wsi.

Należy o tym pamiętać, żeby sytuacja wieś — miasto nie stała się groźna, szczególnie dla dobrze pojętego interesu w układzie sił i — dalej, dla całej gospodarki narodowej!

NAWET MLEKIEM MOŻNA SIĘ ZATRUĆ

Wywiad z adiunktem Kliniki Chorób Zakaźnych
dr Tadeuszem Ziemichodem

Nasilenie zatruc pokarmowych obserwujemy szczególnie w okresie upałów letnich, gdyż wysoka temperatura sprzyja rozwojowi bakterii, którymi zakażone są produkty żywnościowe. Dodajmy, że bakterie rozwijają się już doskonale w temperaturze pokojowej (ok. 17 st. C) nie mówiąc o tym, że najdogodniejsze warunki znajdują dla siebie w ustroju człowieka. I na odwrót — chłód zahamowuje rozwój bakterii, a mróz (ok. —7 st. C) — zabija tak samo, jak i wysoka temperatura. Dlatego posiadanie lodówki jest bardzo cenne.

camii) lub po upływie kilkunastu godzin (zatrucie bakteriami Salmonella). Warto zapamiętać, że biegunka spowodowana zatruciem wydziela często śluz z krwią, ale chory nie odczuwa bolesnego parcia, które jest tak charakterystyczne przy czerwonce.

W większości wypadków zatrucie ma przebieg pomyślny i ustępuje już po kilku dniach. Dzieje się to dzięki intensywnej obronie samego organizmu (wymioty, biegunki), zmierzającego do usunięcia obcych ciał z ustroju.

PRZYCZYNY ZATRUCIA

Zatrucia pokarmowe występują na skutek spożycia pokarmów z zarazkami chorobotwórczymi. Są to najczęściej bakterie z grupy Salmonella, gronkowce wywołujące zatrucia oraz beztennowce znajdujące się m. in. w konserwach.

Trudność uniknięcia zatrucia polega m. in. na tym, że zakażony produkt, szczególnie w stadium początkowym, nie zawsze się różni smakowo od produktu zdrowego.

Zatrucie następuje często po spożyciu mięsa zakażonego bakteriami podczas uboju (np. rozlanie się żółci będącej pożywką salmonelozów,) transporu lub magazynowania. Jeżeli jednak mięso zostanie w stosunkowo krótkim czasie od momentu zakażenia ugotowane, uduszone lub upieczone, spożycie jego nie musi wywołać zakażenia. Bakterie nie mają wówczas dostatecznego czasu na rozmnożenie się i wyprodukowanie większej ilości toksyn. Istniejące zaś bakterie w mięsie, ulegają zniszczeniu pod wpływem temperatury. Gorzej jest, gdy zakażone mięso poleży w sklepie lub w domu, a następnie podawane jest w stanie półsurowym (tatar, befszytk itd.). Również ugotowane mięso, ale podane następnego dnia po lekkim podgrzaniu, może stać się przyczyną zatrucia.

Zakażone mleko i jego przetwory mogą być również źródłem zatrucia. Najczęściej mleko zostaje zakażone przez dojarkę — (brudne ręce lub ropiejące skaleczenia, brudne skopki, wiadra, bańki itp.). Dlatego mleko należy zawsze przegotować przed spożyciem. Nie trzeba dodawać, że niemletożarstwo i owoce są siedliskiem bakterii. Ugotowane jarzyny i przetwory owocowe przechowywane w sposób niehygieniczny, a następnie tylko

podgrzane przed spożyciem, mogą się stać źródłem silnego zatrucia pokarmowego.

CO ROBIĆ PODCZAS ZATRUCIA?

Przede wszystkim wstrzymać się od jedzenia i picia, zabezpieczyć pokarm, który stał się prawdopodobnym „sprawcą” zatrucia, pobrać próbkę wymiocin do badania, które stanowią często jedyną drogę do stwierdzenia przyczyny zatrucia. Chory winien położyć się do łóżka, zapewniając sobie świeże powietrze i czystość. Ustalenie przyczyny zatrucia jest bardzo istotne dla zastosowania właściwego leczenia.

Choremu nie wolno nic jeść, ani pić, nie wolno również podawać żadnych leków stanowiących — zdaniem „domowników” — „wyróbowane środki”. Jedynym dozwolonym środkiem jest węgiel leczniczy podawany w następującej proporcji: łyżka stołowa węgla na pół szklanki przegotowanej wody. Jeśli chory ma silne dreszcze, należy go obłożyć termoforami lub butelkami z gorącą wodą. Można też podać kilka łyków gorącej niesłodzonej herbaty.

Właściwe leczenie może zastosować jedynie lekarz.

NIESTRAWNOŚĆ

Nie jest zatruciem pokarmowym, lecz zaburzeniem wywołanym skonsumowaniem pokarmów zepsutych. Pokarmy te w przeciwieństwie do zakażonych bakteriami, można poznać po wyglądzie, smaku, zapachu itp. Zepsuty pokarm nie ma wartości odżywczych i wywołuje zaburzenia

żołądkowo-jelitowe, charakteryzujące się biegunką i bólem brzucha. Oczywiście, produkty zepsute mogą być również zakażone bakteriami, i wówczas u chorego wystąpią objawy zatrucia.

W przypadkach niestrawności (o ile to nie jest zapalenie wyrostka robaczkowego — objawy bardzo podobne!) wskazane jest zażycie środka przeczyszczającego, ciepłe okłady na brzuch i 24 godzinna głodówka, przechodząca z kolei w dietę kleikowo-kaszkową.

Jak zapobiegać zatruciom?

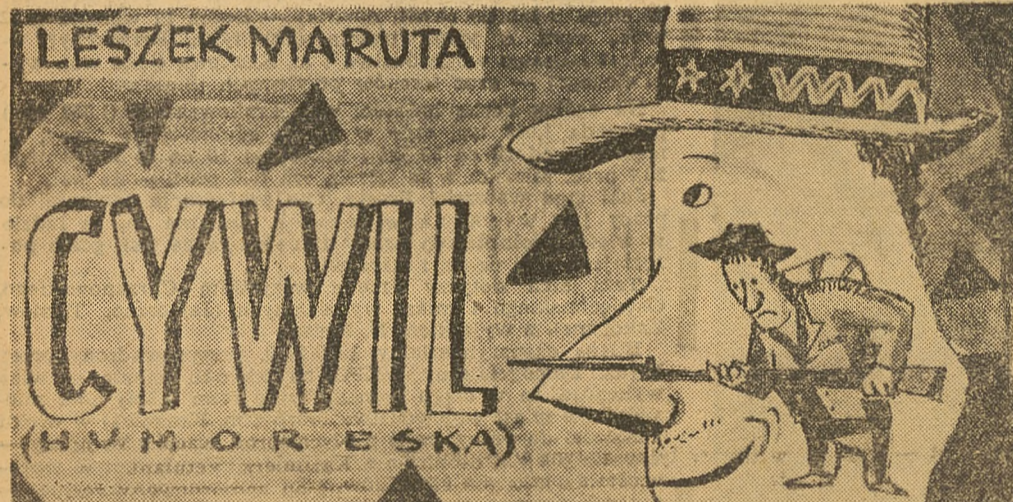
- chronić produkty żywnościowe przed muchami i gryzoniami, przed brudem i kurzem,
- nie przechowywać mięsa w stanie surowym do następnego dnia, jeżeli nie ma lodówki,
- potrawy (mięsne, jarzynowe) pozostałe z poprzedniego dnia, należy przed spożyciem zagotować lub podsmażyć,
- owoce i jarzyny przeznaczone do spożycia w stanie surowym, winny być dokładnie wymyte pod bieżącą wodą,
- osoby mające do czynienia z żywnością, winny mieć zawsze czyste ręce i być poddawane badaniom lekarza sanitarnego, czy nie są chore na chorobę zakaźną względnie

- czy nie są nosicielami,
 - transport żywności musi odpowiadać warunkom sanitarnym,
 - pamiętać, że potrawy należy konsumować niezwłocznie po ich przyrządzeniu. Czynnikiem czasu jest bardzo ważny,
 - unikać raczej potraw podawanych w stanie półsurowym (tatar, befszytk, poledwica), jeżeli nie mamy pewności co do odpowiedniego przechowywania mięsa,
 - nie przechowywać mięsa w stanie mielonym, gdyż na nim szczególnie łatwo mnożą się bakterie,
 - unikać lodów pokątnego pochodzenia.
- Rozmawiał: MIKOŁAJ KUPLOWSKI

OBJAWY ZATRUCIA

Zatrucie żołądkowe charakteryzuje się nudnościami i wymiotami, jelitowe — biegunką, wysoką temperaturą, zawrotami głowy i uczuciem ogólnego rozbicia. Często występują te objawy razem w połączeniu z silnymi dreszczami.

Pierwsze objawy zatrucia obserwujemy już w ciągu 2—4 godzin po spożyciu zakażonego pokarmu. (zatrute gronkow-



Jasia Piszczaka znałem od dziecka. Najpierw jako wrzaskliwe niemowlę, odznaczające się istic kapralskim głosem, potem jako pacholę, paradujące po ulicy z bębniem, blaszaną szabelką, drewnianym karabinkiem i w papierowym pierogu na głowie, później jako wyrostka, pólującego z wiatrówką na wróble i gawrony, i wreszcie jako uczniaka, maszerującego wraz z kolegami w szuku na szkolne ćwiczenia przysposobienia wojskowego.

Przez wszystkie te lata nieraz zapytywałem go półżartem: „Kim chciałbyś zostać, Jasiu?”, a Jaś, pięcio, ośmio czy piętnastoletni, odpowiadał mi zawsze jednakowo: „General-em, proszę pana!”

Mimo wojennego temperamentu, był to w gruncie rzeczy chłopiec usłużny i poczciwy, i jako lokator, mieszkający tuż pod mieszkaniem Piszczaków, nie mógłem uskarżać się na jego wybrki.

Ale wszystko się zmieniło z chwilą, kiedy młody Piszczak stanął przed komisją poborową. Pamiętam, wyszedł tego ranka z domu pewny siebie, roześmiany, jeszcze na schodach dziarsko mi zasalutował...

A wrócił — jako strzep człowieka, załamany, zrozpaczony. Komisja lekarska uznała go za niezdolnego do służby wojskowej! Platfus, astigmatyzm i coś tam jeszcze...

Prysnęły marzenia Jasia o karierze wojskowej. Biedak, pił z rozpaczy przez dwa tygodnie z rządu. Wracając o północy z knajpy, nieraz przystawał przed mymi drzwiami i skarżył się głośno:

— Rany Boskie, do końca życia pozostanę już przeklętym, zapłutym cywilem! O mamo, a po cóżes mnie na ten świat wydała?...
Wtedy wysuwałem głowę przez szparę w drzwiach i uspakajałem go: — Cicho, Ja-

siu! Do domu, w tył, rozejść się!

Zdawało się, że biedny chłopak nie przeżyje tego ciosu. Jednakowoż silny organizm zwyciężył i chłopiec powoli zaczął powracać do duchowej równowagi.

Ale jednocześnie z mieszkaniem Piszczaków zaczęły dobiegać mnie dziwne odgłosy. Coś, jakby tupot nóg maszerującego wojska, gwałtowne uderzenia o podłogę, tak, że aż tynk sypał mi się z sufitu, strzępy melodii marszowych, odgłosy komend...

Zaniepokojony, zaczęłem któregoś dnia na schodach matkę Jasia.

— Cóż to za hałas słysząc wciąż z mieszkania państwa? — zagadnąłem ją surowo.

— A, to mój Jaś — tu Piszczakowa uroniła łzę do chusteczki — w domu przerabiał służbę wojskową! Pożyczyło, biedactwo, regulaminy musztry z komendy garnizonu, jesionkę obszyło galonami, do filcowego kapelusza przyszyło sobie jedną belkę, a zaś w „Desie” kupił Jasiu trąbkę i starą strzelbę! Już wnet będzie miał z sobą okres rekrucki! Potem, daj Boże, przejdzie całą podchorążówkę piechoty!...

— Jezus Maria! — zawołałem w duchu i czym prędzej się pożegnałem.

Nauka Jasiowi musiała iść dobrze. Codziennie o piętej z rana budził mnie głos trąbki i dziarskie nawoływanie: „Pobudka, wstać! Pobudka, wstać! Ja już wołam od godziny, byście wstali lubesyni... Pobudka, wstać!”

A potem zaraz następowały ćwiczenia w terenie. Między urywanymi komendami: „Pamiętaj! Powstań!” coś się waliło na ziemię, coś dudniło, coś łomotało w sufit. Raz po raz trzęsły się ściany domu, kiedy Piszczak pędził z karabinem do ataku, raz po raz sypało się wapno, kiedy Jaś z okrzykiem „Hurra!” szturmował po-

zycje npla. Ćwiczenia te trwały do późnego popołudnia. Dopiero koło czwartej dudnienie przechodziło w rytmiczny krok wracającej z manewrów kompanii.

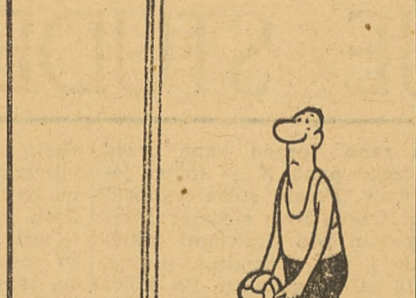
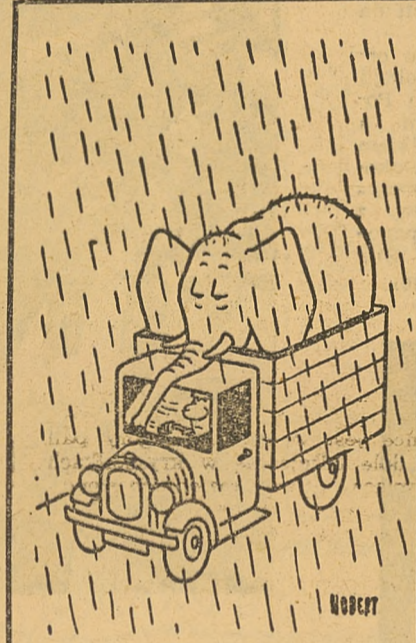
„Ze sroga ku Pierś mą przebił O wpół do drugiej godzin!”

niosła się na cały dom prosta, żołnierska piosenka.

Mijały lata. Powoli przywykłem do garnizonowego trybu życia, jaki zapanował w naszej kamienicy. Ilekroć chciałem wyjść na miasto, meldowałem się u Piszczaków po przepustkę, nocami na zmianę z innymi lokatorami pełniłem wartę przed domem, a w lecie całą realnością wyjeżdżaliśmy razem do Limanowej, gdzie Piszczak wydzierzał dla nas poligon. Hej, piękne to były czasy! Przez całe lato maszerowało się, śpiewało, kryło po lasach, przerabiało musztrę przy pomocy patyków, a wieczorami dumano przy ogniach, na biwaku. Wysoko pod koronny sosen niosł się nasz śpiew, wiarusów.

Piszczak już wtedy dawno skończył własną szkołę oficerską i szybko awansował. Nie mając jeszcze czterdziestki, był już pułkownikiem, a w pięćdziesiąte urodziny nadał sobie stopień generała! Pamiętam, był wtedy wielki jubel!...

Niestety, po latach, skończyło się to nasze piękne, wojskowe życie. Ja znów wróciłem, po pracy, do swoich kanarków, sąsiad z dołu — do majsterkowania, sąsiad z prawej — do filatelistyki. U Piszczaków wszystko uciхло, zamario... Nikt już nocami nie pełnił warty przed domem, nikomu już więcej dozorca nie prezentował na baczność mioty!... Administrator kazał nawet usunąć z balkonu stary sztandar pułkowy... Pytacie, skąd te zmiany? A no, Jaś przeszedł już był na emeryturę. Jako marszałek — w stanie spoczynku.



NIEZNANE EPIZODY Z II WOJNY ŚWIATOWEJ

OSZUKANECZY MANEW

Zdarzenie niniejsze miało miejsce w czasie kampanii afrykańskiej.

Hitlerowski Afrika Korps gen. Rommla zajął umocnioną linię obronną ciągnącą się na przestrzeni z gór 50 km od Morza Śródziemnego aż po krawędź niedostępnej kotliny Kattara.

Brytyjscy generałowie Alexander i Montgomery, gwałtownie rozpoczęli swoją pierwszą, wielką ofensywę, zdawali sobie sprawę z ogromu strat, na jakie narażona została atakująca armia.

Niemcy byli silni zwłaszcza ich lotnictwo było bardzo groźne i wszystko wskazywało na konieczność natychmiastowego przeprowadzenia jakiegoś pozorowanego manewru, który by choć częściowo odwrócił uwagę Rommla od miejsca, gdzie nastąpić miało główne uderzenie.

Zasadnicza rola w tej operacji przypadła Royal Navy — brytyjskiej flocie.

W zupełnych ciemnościach, na szereg godzin przez rozpozyciem ofensywy Montgomery'ego cztery brytyjskie ścigacze podpiły się w pobliżu brzegu, kilkanaście mil poza niemiecką linią frontu. Zastopowały się silniki, jednostki te, niezauważone przez przeciwnika, szykowały się do wykonania zadania.

Ciemności nie trwały długo. W powietrzu przemknęły z grzmiotem silników bombowce RAF, z gór opadała na plażę ściana światła — to flary oświetlały teren przyszłego lądowania. Bomby padały na plażę z oddali, z odległości wielu mil włączyła się do akcji brytyjska ciężka artyleria.

W blasku niezliczonych świateł, na oczach Niemców ścigacze przystąpiły do pracy. Uwijały się po morzu, kładąc imponującą zasłonę dymną.

Niemiecka Kwatera Główna została natychmiast poinformowana o wypadkach na wybrzeżu, które przez informującego oficera ocenione zostały jako przygotowanie do inwazji. Obiecano posiłki. Dowództwo niemieckie jednak nie było jeszcze przekonane o powadze sytuacji na wybrzeżu.

Następny meldunek brzmiał jednak poważnie. Poniżony oficer niemiecki donosił, iż z nieprzeniknionej zasłony dymnej dochodzą odgłosy, wskazujące na użycie znacznych sił morskich. Słychać ryk silników grzechot łańcuchów kotwicznych, wielobarwne rakiet strzelają w niebo. Słychać grzmot wielkich dział okrętowych.

Reakcja niemieckiej Kwatery Głównej była natychmiastowa. Wszystkie zdolne do boju Messerschmitty i Stukaszy wystartowały. Słynna 90 Lekka Dywizja Płochoty, całkowicie zmotoryzowana, ruszyła w kierunku wybrzeża. Działła i czołgi z głównej niemieckiej linii obronnej otrzymały rozkaz udania się w tym samym kierunku. Bateria za baterią włączyła się do akcji ostrzeliwując skryty pod zasłoną dymną odcinek morza. Ale brytyjskie siły inwazyjne nigdy nie wynurzyły się spoza zasłony...

Tego rodzaju mistyfikacja nie mogła trwać więcej niż kilka godzin. Kiedy dym rozwiął się zamiast floci inwazyjnej morze wyrzuciło na brzeg kilka pustych uszkodzonych tratw. Ścigacze odpiły.

Radio Berlin doniosło o odparciu „głównego natarcia”, o ciężkich stratach przeciwnika. Wzbudziło to zrozumiałą wesołość u tych nielicznych, którzy znaleźli się „lądowania”. Ludzie ci wiedzieli, iż za nieprzeniknionej dla oka ścianą dymu działały tylko cztery ścigacze wyposażone w potężne głośniki. Utrwalone na taśmie odgłosy lądowania i walki dotarły za pośrednictwem do Niemców i wywołały zamieszanie i efekt.

Efektom tym, zresztą niewątpliwie krótkotrwałym, było częściowe osłabienie sił niemieckich w tym miejscu, gdzie w owym czasie uderzyły główne siły Montgomery'ego. Hitlerowcy ponieśli porażkę.

(Dokończenie na str. 7)

POLACY SZTURMUJĄ MATTER- HORN

III.

Sobota — 25 kwietnia.

W księżycowej poświacie góry są inne. Srebrne, zimne i obce. Szedłem tuż za Jankiem Mostowskim. Pięliśmy się w górę, krok za krokiem. Nie było źle. Mróz związał nadtopiony za dnia śnieg. Od czasu do czasu cienka pokrywa załamywała się. Nogi wpadały głęboko w sypką masę. Pod spodem śnieg nie był związany... wtedy serce uderzało żywiej: uwaga, może zjechać!

Staraliśmy się trzymać blisko skał. To pewniejsze. Ostrożnie, z zapartym tchem przekraczaliśmy stożki zwianego ze ściany śniegu. Janek odwrócił się. Plastikowy hełm rzucał na twarz głęboki cień. W szybcie lampy czołowej przeglądał się księżyc. Hełm, reflektorek — zmieniający swe położenie z każdym obrotem głowy, wysunięty na zewnątrz, jak oko cyklopa, nadawały mu obcy, ba niezmierny wygląd.

— Popatrz! — odezwał się. Ciemności w dole pod nami przerywało kilka silnych świateł. To ośrodki prac dla „Grande Dixance“, największej hydroenergetycznej inwestycji Szwajcarii.

Cicho. Z odległości kilkunastu kroków słyszę, jak raki Janka wciągają się w śnieg. Stok jarzy się seledynowym słabym światłem. Nie ma trudności z utrzymaniem kierunku. Miesiąc wskazuje nam drogę. Nawet zachęca swym przykładem. Wspina się po grani Furgen.

Podchodzimy już pod kopułę szczytową. Posuwamy się w milczeniu. Godzina piąta. Ogarnia nas mrok. Nasz konkurent, księżyc, uskok podszczytowy obchodzi po włoskiej stronie.

Nagle w ciszę nocną wdziera się huk! Jakby walił się potężny gmach! Łoskot maleje stopniowo do szumu potężnego potoku i zamiera... Powtórzyło go echo.

Janek zatrzymał się. Przywarł do wbiętego czekana.

— „Seraki!“ Cholera, tak wcześniej!

Na ogół przyjmuję się, że „seraki“ obuwają się dopiero po wschodzie słońca. Turnia lodowa wałąc się uderza o stok, rozbija się. Bloki lodowe pędzą, koziołkują w dół. Towarzyszy im zwykle lawina śnieżna... biada temu, kto stanie im na drodze!

— Już trzeci raz obserwuję urwanie seraków o tej porze — powiedziałem. Mostowski popatrzył na mnie z zainteresowaniem.

— Na Col de la Fourche. Poszła wtedy lawina z Aiguille Noire de Peuterey... potem na Mont Blanc du Tacul, wiesz, wtedy co zginał Żuławski...

— Tę, to pamiętasz chyba aż za dobrze! Miałeś czas o niej myśleć w szpitalu.

— O tak — a ta jest trzecia!

Ciemności nie trwały zbyt długo. Za naszymi plecami na wschodnim kraju nieba rozpoczęła się stara jak świat walka. Kibicujące jej gwiazdy stawały się mniej wyraziste, oddalały się, wreszcie znikły... wstawał dzień.

— Szczelina brzeźna — Janek zatrzymał się — zmień mnie.

Ruszyłem do przodu. Godzina wpół do szóstej. Szczelina nie była duża. Na ścianie śnieg był lepszy. Większa insolacja słoneczna, no i oczywiście stromizna, zrobiły swoje. Na stromym stoku świeży śnieg nie utrzyma się długo, zjeżdża do kotła. Tam rzeczywiście było go sporo.

Szliśmy na kolech raków. Powykręcane kostki buntowały się.



Wschodnia ściana Matterhornu

Kopuła szczytowa Matterhornu pokryła się purpurą. Poranek. Wstające słońce zabarwiło szczyty na krwisto, śnieżne stoiki nabrały koloru rubinu. Na dole, w Zermatt panował jeszcze mrok.

Słońce praży coraz intensywniej. Twarda dotąd pokrywa śnieżna wiotczeje. Zarbijający z nieba wysysa siły. Całe szczęście, że nad nami nie ma już seraków. Są za to kamienie. To one bronią ścian Matterhornu. Bronią i to dzielnie. Bombardują śmiatków, a czy skutecznym... wystarczy się przejść po cmentarzyku w Zermatt.

Włeczmy się krok za krokiem. Drogi nie ubywa. Trudności nadal niezbyt duże. Tylko ten śnieg i słońce. Idziemy z lotną asekuracją. Coraz częściej pod rakami zgrzyta skała... Płyty.

Zbliża się południe. Hełm na głowie ciąży. Pot wgrzyza się w oczy, zalewa okulary. Słońce jest wszędzie... u góry pali kark, na dole odbija się w kryształkach śniegu. Tysiące, miliony maleńkich słońc... razi. Nie pomagają ciemne szkła. Język przysycha do podniebienia. Jest szorstki i sztywny.

— Staszek, zatrzymajmy się na tych skałkach.

— Dobrze.

Skałki nie były gościnne. Dachówkowate, płytowe i strome. Nie ma gdzie usiąść. Może wyżej. Pięćdziesiąt metrów... sto. Psiakrew... z lewa i z prawa gładka stroma grządką. Nareszcie... stopień skalny. Skreomam w lewo. Z ulgą zrzucam plecak. Dochodzi Janek. Zdejmuje hełm. Ociera pot z czoła. Zlepione kosmyki włosów spadają mu na czoło.

— Daj herbatę. Konam z pragnienia.

Podaję mu flaszkę. Przywiera do niej łapczywie. Pije dużymi haustami. Zachłytuje się.

Daleko pod stopami płaszczyna śnieżna, przecięta cieniutką, ledwie widoczną nitką śladów. Te mikroskopijne punkciłki tam, to ludzie. Nasz stok pędzi ku nim stromo w dół, urywa się bariera seraków, przeskaakuje nad uskokiem skalnym i łączy z olbrzymim śnieżnym płaskowyzem. Niekąją lodowca Furg. Gruz lodowy szerokim językiem wdziera się w tę płaszczynę. To pozostałość po nocnej lawinie seraków.

— Odpoczywamy.

(Ciąg dalszy nastąpi)

CZARNA LISTA

(Dokończenie)

W pamiętną noc w mieszkaniu kierownika katedry mikrobiologii profesora Napoleona Gąsiorowskiego:

Usłyszawszy mocne pukanie do drzwi, otworzyła gestapowcom żona profesora, cała w żalobie. Nie spała jeszcze, a na jej obrzękłych od przeżytego nieszczęścia oczach błyszczały łzy. Ani rewolwery gestapowców skierowane na nią, ani ordynarne okrzyki, nie wywarły na żonie zmarłego profesora żadnego wrażenia. Dopiero gdy zapytano ją szorstko: „Gdzie jest profesor Napoleon Gąsiorowski?” — pytanie to ugodziło ją w samo serce, zabrzmiało jak jakieś straszne naigrwanie się. Ale posępne, rozdrażnione i zastygłe w tępej zuchwałości twarze gestapowców, żądały odpowiedzi. Powstrzymując szlochaniem, kobieta wykrztusiła:

— On już nie żyje.

Profesor Napoleon Gąsiorowski zmarł bowiem w czasie bombardowania Lwowa, po przebyciu kilku ataków sercowych. Ani łzy w oczach wdowy, ani portret zmarłego wiszący na ścianie i zaciągnięty krepą nie wywarły na gestapowców żadnego wrażenia. Trzymając w ręku czarną listę OUN, nie wierzyli w śmierć Gąsiorowskiego, ponieważ zaświadczenie zgonu, z uwagi na okres wojenny, nie zostało jeszcze wydane. Gestapowcy przestali indagować rodzinę zmarłego dopiero wówczas, gdy udali się na cmentarz łyżczakowski. Tam, nad świeżą mogiłą widniało nazwisko człowieka, którego pragnęli aresztować i rozstrzelać...

Nieprowadzenie zaskoczyło również gestapowców w mieszkaniu kierownika kliniki okulistycznej prof. Adama Bednarskiego. Kiedy wdowa powiedziała oficerom, że jej mąż zmarł śmiercią naturalną w roku 1940, rozjuszony gestapowiec, potrząsając czarną listą, zawołał:

— To niemożliwe; Nasi sojusznicy donoszą nam, że żyje!

Świadczenie zgonu okazane przez żonę zmarłego, uspokoiło nieco oficera, lecz widać było, że dąży za wszelką cenę do wypełnienia ustalonej przez kierownictwo liczby aresztowań, mających na celu likwidację wybitnych inteligentów. Oficer wiedział, że jego przełożeni wierzą w śmierć tylko w tym wypadku, jeżeli zadana została przez gestapo.

— Kto jest zastępcą profesora Bednarskiego — zapytał oficer, rozglądając się po mieszkaniu.

— Jego asystent docent Jerzy Grzędziński — odpowiedziała nieostro wdowa.

— Adres? Gdzie mieszka Grzędziński? — wykrzyknął oficer.

SUROWY KRYTYK

Wydawcy słynnej „Encyklopaedia Britannica” posłali niedawno pewien artykuł z dziedziny historii, który od wielu już lat figurował w kolejnych wydaniach encyklopedii, do recenzji pewnemu znakomitemu historykowi brytyjskiemu. Artykuł wrocław z uwagą: „Złe napisane. Pełne błędów”. Wydawcy wtedy zajrzeli do spisu autorów i stwierdzili z osłupieniem, że autorem artykułu jest — sam recenzent!

Profesor napisał go już tak dawno, że sam o tym zapomniał.

NA EKRANIE

„Inspekcja pana Anatola”

Paryżew ma własną „piwnicę” z rodzimymi brodacami, ma na wielkometrową skalę kombinatorów, ciągoty na egzystencjalizm i chce mieć także swą własną „Miss”.

W takiej to scenarii i wśród takiej galerii typów przeprowadza swą inspekcję Tadeusz Fijewski, a w tej szaleńczej komedii pomagają mu Helena Makowska, Barbara Polomska, Stefania Górska, Stefan Witas, Stanisław Jaworski, robiąc wielce, byśmy się mogli szczerze pośmiać.



TAJEMNICZE PISMO Z MARSA

Czytelnicy prasy polskiej bawili się przed kilku miesiącami historią niejakiego Adamskiego, który wygłaszał na Zachodzie odczyty na temat swego pobytu na Marsie. Sprytny oszust opowiadał z taką sugestywnością o swoich przygodach na Marsie, że na odczytach jego było zawsze przepelnienie. Szczytem powodzenia było zaproszenie Adamskiego na dwór holenderski. Wprawdzie większość obecnych na tym seansie śmiała się w kulak i spoglądała ze zdumieniem na inspiratorke tego zaproszenia, królową holenderską, ale było wielu takich, którzy słuchali słów Adamskiego jak objawienia a

jego samego uznali za wyśnawca wszechświata. Inna podobna historia miała miejsce na długo przed II wojną światową. Bohaterką jej stała się skromna ekspedientka sklepowa z Genewy Helena Schmidt, a oszustem, który zbił na tej aferze majątek, był niejaki prof. Flourney. Pewnego wieczoru panna Helena poczuła w czasie pisania listu, że ręka jej pocyna kreślić jakieś esy floresy i o sobliwie wzory bez jej woli. Ekspedientka szybko doszła do wniosku, że nie należy lękać się tych niezwykłych objawień, ale było wielu takich, którzy słuchali słów Adamskiego jak objawienia a

dniach z tej bezwiednej bazgraniwy wykształciło się pierwsze słowo „Leopold” a Helena doszła do wniosku, że to imię ducha opiekuńczego, który kieruje jej ręką i że duch ten pochodzi z zaświatów. Tymczasem pod ręką pracującą nad sobą Helenki zaczęły pojawiać się najpierw znaki przypominające pismo arabskie, potem znaki sanskryckie a wreszcie litery, których nie można było porównać z żadnym z współczesnych czy starożytnych alfabetów. Sława medium szybko rosła. Zainteresowały się młodą ekspedientką kółka spirytystów i wkrótce Helena stała się oficjalnym medium. Wmieszali

się w sprawę okultyści genewscy, ogłaszając urbi et orbi o odkryciu tajemniczego języka Marsjan. Znalazł się wkrótce inny spryciarz, który na tym wszystkim dorobił się niezłych pieniędzy, taki odpowiednik współczesnego Adamskiego, prof. Flourney, wykładowca psychologii na jednym z uniwersytetów. Potrafił on ni mniej ni więcej tylko odtworzyć alfabet tego języka. Ponieważ publiczność czekała na nowe sensacje, postarano się o to, by Helena poczęła zapadać w trans coraz głębszy, w czasie którego, obok mechanicznego kreślenia znaków, wystąpiły wizje z głośnym dialogiem. Dzięki umiejętnemu kierownictwu, medium poczęło odpowiadać na pytania latorożnika seansu. Tymczasem prof. Flourney nie zasypiał gruszek w popiele i stworzył... słownik języka Marsjan. Do interesu włączy-

ło się kilku dalszych nowych szarlatanów, wydając wiele książek na temat odkrytego pisma. W czasopiśmie poświęconych zagadnieniom psychicznym zawrzała gwałtowna polemika. Teraz prof. Flourney ruszył z kopyta i opracował gramatykę i pisownię. Dzięki więc seansom Helenki światu przybył nowy język i to aż z Marsa. Jedno z czasopism polskich przytoczyło kilka zdań w języku Marsjan posługując się pisownią polską. Oto próbką:

Mode ine sze di kawuicze ni ewe sze kine line (Matko droga, ja cię poznaję i jestem twoim małym Line). „Z wyższego przykładu widać — pisze czasopismo — że język mieszkańców Marsa niezbyt odbiega od języków Indo-europejskich. Te same dźwięki, alfabet równie ubogi, jak w łacinie, deklinacja podobna do francuskiej”. Prof. Flourney wierzył w pismo Marsjan, odtworzył je i przekazał potomnym. Nie mógł jednak uwierzyć w podróże Schmidtowny na inne planety. Było jeszcze na takie fantazje za wcześnie. Uważał te podróże za wytwór bujnej fantazji i ganił spirytystów genewskich, którzy zbyt pochopnie wysuwali wnioski, przez co mimo woli inspirowali medium. Współczesny nam Adamski znalazł wielu niedowiarów, ale znalazł też zagorzałych zwolenników i to bynajmniej nie wśród maluczkich umysłów. Flourney i Adamski mają jedno wspólne z sobą: znają się na psychice ludzkiej. Moda na pismo Marsjan szybko minęła. Dzisiaj w epoce pierwszych prób dostania się na księżyc spryciarze porzucili pismo i opowiadają o swych podróżach kosmicznych.

REWIZOR W SPÓDNICY

Jesteśmy narodem pomysłowym. Raz po raz zaskakuje nas pomysłowość rodaków.

Gdybyśmy tak zdolności „kombinacyjne” wykorzystywali w sferze interesów społecznych... Ale na cóż zda się to „gdynanie”? Wówczas kombinatory nie mieliby kogo okradać i prawdopodobnie zmysł handlowy całkowicie zanikłby, jak to widzimy na przykładzie wielu uczciwie (tzn. bez większych mank) prosperujących deficytowych restauracji, sklepów, zakładów usługowych. Trzeba się zatem z faktem tym pogodzić — tacy już „dziwni” my — Polacy, jesteśmy.

tupet — artykuł popłaczający

Jest jasny, słoneczny dzień. Do mieszkania państwa N. wchodzi zakonnik. Puka, mówi: „niech będzie pochwalony”, wchodzi, siada. Rozkłada obrazki i wyciąga z przepastnej torby kartkę papieru. Obrazki mają charakter dewocjonalni, na brzegu każdego z nich skromniutko przypomina o sobie — cena: 10, 20, 30 złotych.

Zakonnik mówi spokojnym, cichym głosem. „Zbieram datki na kościół w Z. Tu jest lista”. I pokazuje. Sznur nazwisk, a przy nich 20 zł, 50, czasem nawet — 100. Obok niektórych dopisek: „Za duszę zmarłej babki — Amelii K. proszę specjalnie odmówić „Ojcze nasz”, a w nawiasie dodatkowo — 20 złotych.

Czy przeciętny, wierzący obywatel odmówi zakonnikowi ofiary? Czy przypuszcza, że jest przedmiotem ordynarnego oszustwa? Czy zażąda upoważnienia, pisemka?

Gazety doniosły: „26 letni górnik Michał Stepnia przebrał się w habit zakonnika i chodził po mieszkaniach, zbierając datki na „biednych”. Oszusta aresztowała milicja...”

„pani inspektor — przyszła”

Krystyna Biesiacka nie działała licząc wyłącznie na naiwność braci Polaków. Ona była mistrzem w swoim „fachu” — opierała się na psychologii. Wypracowała metodę niemal że niezawodną.

Sklep z kosmetykami. Znużone ekspedientki dzielą się wspomnieniami z ubiegłoniedzielnego dancingu. Pora przedpołudniowa. Ciepło. Pusto. Wreszcie jest. Klientka. Wysoka, przystojna, nieźle ubrana. Zdecydowanym krokiem podbiega do lady. „Czym mogę służyć?” — Ekspedientka jest wyjątkowo uprzejma. Od damy, która swoją osobą wypełniła sklep, bije zdecydowanie i „z takimi lepiej nie zadzierać!”

„Jestem inspektorem PIH-u. W sąsiednim sklepie przeprowadzam kontrolę. Chciałabym zatelefonować”.

Ekspedientki przerywają rozmowę. Poprawiają fartuszki. Jedna wskazuje uprzejmie drogę do sekretariatu, gdzie znajduje się aparat telefoniczny, druga otwiera przed panią inspektorem drzwi... Pani inspektor bierze słuchawkę do ręki, a dziewczęta dyskretnie wycofują się za ladę. „Od razu mi się nie podobala” — mówi Zosia. „Dlatego zaraz do niej podbiegłam” — wyjaśnia druga. Wreszcie — pani inspektor skończyła rozmowę. Tym samym energicznym krokiem wraca do sklepu. „Bardzo dziękuję. Do widzenia!” Jest już przy drzwiach. Jeszcze jedno spojrzenie na półki i... „Przepraszam — macie „Wiołę V” w małych flaszeczkach?” — „Owsem — jest!” — „Może pani pozwoli jedną...” — „Ależ naturalnie”. Trzy dziewczęta podbiegają do półki, jedna podaje flaszeczkę, druga chce zapakować... Obsługa jak... na pokaz! Pani inspektor przyjmuje buteleczkę i sięga do torebki.

— W tym miejscu myślicie, że pani inspektor powie: „ojej, nie mam przy sobie pieniędzy” i w ten sposób dowiedzie się, na czym polegały przestępstwa Krystyny Biesiackiej? — Nic podobnego. Pani inspektor wyjmując z torebki całą „pięćsetkę” i podaje zażenowanej ekspedientce. Ta wydaje resztę. „Sto, dwieście, trzysta” — „liczy pani inspektor i oświadcza: „Jest o sto złotych za mało. Pani się pomyliła”. Kto sprzeciwi się inspektorowi z PIH-u? Kto zechce dla stu złotych narazić się na sprawę, w której wynik może być tylko jeden: utrata posady? — Ekspedientka dopłaca pani inspektor 100 złotych, serdecznie ją przepraszając za pomyłkę. Zdecydowanym krokiem pani inspektor opuszcza sklep. „Naprawdę się omyliłaś? To że zdenerwowania!” — tłumaczy koleżanki. Nawet one nie uwierza, że to „pani inspektor” sprytnie ukryła „stówkę” narażając ekspedientkę na stratę. A któż z obecnych w tym sklepie mógł się domyślać, że postępowanie Krystyny Biesiackiej — pani inspektor z PIH-u, to żmudnie wypracowany i wcale pokaźne zyski przynoszący — proceder.

i to byłoby — wszystko!

Krystyna Biesiacka działała w ten sposób w wielu łódzkich sklepach. Aresztowała ją w końcu milicja. Oczekuje na proces sądowy. Na ławie oskarżonych jeszcze raz będziemy mogli obejrzeć „panią inspektora”, której za pomysłowość i spryt należy się medal, a za „działalność” dobrych kilku lat więzienia. I to byłoby wszystko!

H. MIKOZA



Buddenbrookowie na ekranie

Nieśmiertelne młodzieńcze dzieło Tomasza Buddenbrooka gra Hans-Joerg Felmy a Gerde Arnaldsen — Nadja Tiller. Oto jedna ze scen filmu.



Jeszcze jedno

Demonstrujemy jeszcze jedno, obok licznie zamieszczonych przez całą światową prasę, zdjęcie miss świata — Japonki, 22-letniej Akiko Kodzimy. Kodzima jest z zawodu modelką i — pierwszą „egzotyczną pięknością”, która uzyskała tytuł miss Unwersum.

12 MINUT OPERACJA PŁUCA
W Związku Radzieckim dokonano operacji usunięcia płuca w ciągu niespełna 12 minut, przy miejscowym znieczuleniu. Specjalna kłamra ściągnęła ranę pooperacyjną a dzieła dokończył automat do zszywania skóry.

ROZWÓD PRZEZ TELEWIZJĘ

Po raz pierwszy na świecie telewizja stała się przyczyną rozwodu. A ofiarą telewizji padła aktorka telewizyjna Caroline van Dyke. Otóż mąż pani Karoliny przez cały dzień i wieczór „siedział jak przylepiony do ekranu” (powiedzonko aktorki). „Byłam mu tylko potrzebna, i to nie bardzo, do podawania posiłków”. Sąd uznał pretensje żony. Rozwód przeprowadzono.

FAKTY PLOTKI

CZARNI I BIALI
W Salisbury — stolicy Rodezji (Afryka) biały człowiek umarł w szpitalu. Do stwierdzenia zgonu wezwano lekarza. Dyżurny był jednak Murzynem, a Murzynowi nie wolno dotykać białych umarłych. Dyrektor szpitala przydzielił więc lekarza — Murzyna do służby poza szpitalnej. Widocznie żywych białych może jeszcze dotykać czarny lekarz. Zmarli są natomiast nietykalni.

KRÓLOWA W OKULARACH

Królowa angielska ma poważne zmątwienie. Psuje się jej wzrok. Lekarz przepisał okulary. „Będę w dziejach Anglii pierwszą królową w okularach — oświadczyła Jej Królewska Mość — a poza tym nikt mnie nie jest w stanie przekonać, że szkła dodają kobiecej twarzy uroku.

Tajemnice naszego nosa

W DZISIEJSZYM KOLEJNYM ODCINKU — SPROBUJMY PRZESTUDIOWAĆ CHARAKTER CZŁOWIEKA NA PODSTAWIE RYSÓW I KSZTAŁTÓW NOSA.

Szeroki, spłaszczony nos, pozwalający na swobodne oddychanie — jest oznaką żywotności.

Im bardziej mięsiste są ścieżki — tym bardziej żywotność ta kontrolowana jest przez rozsądek.

Nos raczej kobiety niż mężczyzny. Czynna wyobraźnia, uczuciowość, umysł artysty. Brak wiary w siebie. W miłości — szuka w mężczyźnie oparcia.

Charakter zmysłowy, szybko reagujący. Umysł krytyczny o wartościach artystycznych. Wrażliwość widoczna, ale powierzchowna. Znakomity zmysł artystyczny.

Nos mężczyzny, świetnego pracownika, żyjącego zdrowym życiem i posiadającego zdrowy rozsądek. Dobrze panuje nad sobą. W miłości — zdolność trafnego wyboru.

Wiele ciągłych rozczarowań. Gorycz, podejrzliwość, przywiązanie do pieniędzy i do korzyści materialnych.

U kobiety — dyskrecja, chęć podobać się, charakter marzycielski, sentymentalność, wielkie powodzenie u mężczyzn. Siódmy, nimb tajemniczości, małe zdolności do zajęć domowych.

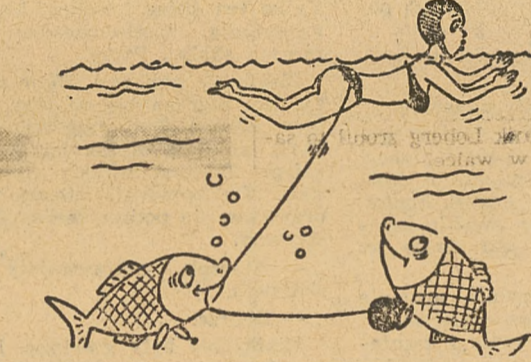
U mężczyzn — brak inicjatywy.

Typ nosa, niespotykany u kobiet. Umysł praktyczny, ostrożny, połączony z szerokością horyzontów i wielkim rozumem.

Umysł jasny, umiemy się skupiać i dochodzić do „sedna rzeczy”, logika i odwaga w czynie.

Nos ten jest rzadki u kobiet, czasami spotyka się u literatek i dziennikarek.

Brak wiary w siebie pomimo przesadnej dumy, charakter podejrzliwy i skryty.



HUMOR BEZ SŁÓW

POŻAR W AMBASADZIE

Wieczorem dnia 5 lutego 1909 roku w gmachu niemieckiego poselstwa w Santiago de Chile wybuchł pożar. Mimo zmobilizowania całej straży, ognia nie udało się opanować i budynek spłonął doszczętnie. Policja i straż ogniowa znalazły w jednym z pokoi kompletnie zniekształcone, zwęglone zwłoki. Znalezione przy nich przedmioty, a to: srebrna papierośnica, nikłowy zegarek, binokle oraz obrączka ślubna z datą 13. 3. 1899 wskazywały na to, że ofiarą płomieni padł urzędnik poselstwa Beckert.

Ciało leżało niedaleko kasy pancernernej, która była otwarta, a jej zawartość: akta i gotówka na bieżące wydatki znikły. Komisja lekarska dość pobieżnie przeprowadziła sekcję zwłok i wruszając ramionami podała powód zejścia — spalanie. Wszystkie zresztą wskazywało na to, że Beckert pragnął ratować zawartość kasy, a ponieważ cierpiał na epilepsję, pod wpływem przerażenia uległ atakowi i spłonął. Teza ta została niewątpliwie przyjęta, gdyby nie fakt, że policja znalazła w innym pokoju prawie nieuszkodzoną, a poplamioną krwią chusteczkę Beckerta oraz długi nóż.

Fakt ten kojarzył się z jednoczesnym tajemniczym zniknięciem Exequiel Tapii, obywatela chilijskiego, pełniącego obowiązki służącego w niemieckim poselstwie. Powstała więc druga hipoteza: Tapia zrabował gotówkę, zamordował Beckerta, podpalił budynek, by zatrzeć ślady, a następnie uciekł.

Poselstwo zażądało ponownych oględzin zwłok. Druga, a następnie trzecia sekcja stwierdziły niezbicie: rana piersi 2 cm długa i 1,5 cm szeroka, z wi-

docznymi jeszcze śladami skrzepu. Odiamek metalu w ciele. Ponadto zauważono uszkodzenie czaszki powstałe na skutek uderzenia tępym narzędziem. A więc mord?

Przy identyfikacji zwłok komisja interesowała się także użębieniem zmarłego. Było ono kompletne. Ponieważ pani Beckert zeznała w śledztwie, że mąż miał wszystkie zęby w porządku — upadły ostatnie wątpliwości. Ciało wydano. Pogrzeb odbył się przy olbrzymim udziale ludności. Nad otwartą mogiłą wygłoszono mowę i odegrano niemiecki hymn. Wdowie rząd chilijski przyznał odszkodowanie w wysokości 20.000 pesetów.

FATALNA OMYŁKA TŁUMACZA

Rozdrażniona kpiącymi wzmiankami w całej światowej prasie policja chilijska szukała gorączkowo zbiegłego Tapii — mordercy. Tymczasem jeden z członków komisji lekarskiej udał się do dentystry Beckerta i pokazał mu zęby, pozostałość po niemieckim urzędniku. Dentysta potrząsnął głową i odparł krótko: „To nie są zęby Beckerta. Ja mu usunąłem przecież wszystkie zęby trzonowe!”. Prowadzącym śledztwo inspektorem zakreśliło się w głowie. Czyżby pani Beckert?

Ponowne przesłuchanie pani Beckert wytrąciło ich z równowagi do reszty. Wdowa była Chilijką. Tłumacz ambasady pytał ją o „dientes” tj. o siekacze. Te Beckert faktycznie miał w porządku. Gdy spytano ją o „dentura” tj. o całe użębienie odparła: „Mężowi brakowało zębów trzonowych”. Pani Beckert była w

porządku — ale kogóż więc pochowano tak uroczyście? Tapia przez całe swe życie nigdy nie był u żadnego dentystry — indagowana żona nic na ten temat powiedzieć nie mogła. Miała widać poważniejsze troski niż stan użębienia męża. Tymczasem rozesłane przez policję listy gończe doprowadziły szybko do nieoczekiwanego sukcesu.

PAN CIRO LARA MOTTE

W małym miasteczku, położonym niedaleko granicy argentyńskiej, zwracał na siebie powszechną uwagę podróżny, który niezwykle wystawnie uczładował i niezwykle wielodusznie płacił rachunki. Współbiedniacy opowiadali o plikach różowych pesetów, którymi zwykł był przy placeniu wesoło wywijać. Policji, która w końcu zainteresowała się jego osobą, okazał niewątpliwie autentyczny paszport, uprawniający do przekroczenia granicy argentyńskiej, a wystawiony na nazwisko Ciró Lara Motte. Mimo to komentant placówki po przegłądnięciu książki gończej, zatelefonował do Santiago — pytając, czy banknoty, które splonęły w gmachu poselstwa — były różowe.

W Santiago stwierdzono, że paszport na nazwisko Ciró Lara Motte jest autentyczny. Wystawiono go w dniu 29. I. 1909 r. na żądanie niemieckiego poselstwa. Odebrał go osobście Beckert. Równocześnie poseł oświadczył, że w kasie pancernernej było 17.000 pesetów w różowych banknotach, które splonęły w czasie pożaru. Wysłano natychmiast rozkaz aresztowania — ale bogaty podróżny opuścił już gościnne

miasteczko. Jednak pościg, który ruszył za nim w pogoń, miał szczęście. Pana Ciró Lara Motte dopadnięto w momencie przekraczania granicy i aresztowano. Znalezione przy nim spory majątek w gotówce oraz w wceklach niemieckiego poselstwa. Gdy dostarczono go do Santiago, okazało się, że pan Ciró Lara Motte — to uroczyście pochowany Beckert!

DAREMNE PRÓBY RATUNKU

Beckert opowiadał, że w budynku napadł na niego Exequiel Tapia oraz jakiś drugi nieznan mu osobnik. W czasie walki wyrwał Tapii nóż i pchnął go nim w piersi. Potem dostał ataku epilepsji i zemdlał. Gdy się obudził, ambasada pionęła. Uciekł, bo nie wiedział co robić. Beckert jednakże nie mógł udzielić wyjaśnień, gdzie jest pan Ciró Lara Motte, którego zresztą policja nigdy nie znalazła, dlaczego kupił tuż przed pożarem 20 metrów knota, którego resztki znalazł w popiele, dlaczego wreszcie kupił sobie fałszywą broń, rewolwer i na futerałe kazał wyrzeć inicjały C. L. M.

Gdy wglądnięto bliżej w życie prywatne Beckerta, okazało się, że miał kochankę, która była niezwykle wymagająca, że żył ponad stan, a nadto od dłuższego czasu fałszował weksle z podpisami posła. Morderstwo dokonane na wóznym, rabunek, a następnie pożar, który miał zatrzeć ślady, zamiast spodziewanego ratunku przyniosły Beckertowi wyrok śmierci.

Opracował JERZY MACHLOWSKI

NIEZNANE EPIZODY Z II WOJNY ŚWIATOWEJ

(Dokończenie ze str. 4)

POJEDYNEK LATAJĄCYCH OLBRZYMÓW

Ira Wolfert, znany amerykański korespondent wojenny cieszył się w czasie ubiegłej wojny szczególnymi względami losu. Tak się jakoś składało, że zawsze w chwili i w miejscu gdzie działo się coś szczególnie ciekawego, znajdował się również Wolfert, a czytelnicy w krótkim czasie otrzymywali relację z pierwszej ręki.

Opatrzność nie zapomniała też o nim, gdy lądował się w r. 1943 do latającej Fortecy B-17, by razem z 9-osobową załogą odbyć normalny lot patrolowy w rejonie Guadaluca.

Lot odbywał się bez zakłóceń do momentu, kiedy maszyna znalazła się na wysokości 6.000 stóp. Wtedy jej dowódca, porucznik Loberg, zauważył nagle w dole amerykański samolot typu „Catalina”. Duża, latająca jód zachowywała się, jak spłoszony ptak. W gwałtownych skrętach usiłowała umknąć niewidocznemu jeszcze dla załogi B-17 przeciwnikowi. Ale oto i napaśnik pojawił się w polu widzenia.

Był to wielki, czteromotorowy Kawanishi 97, najpotężniejsza maszyna, jaką dysponowała japońska marynarka. Wisiał jak jastrząb nad słabo uzbrojoną, obserwacyjną Cataliną, skazaną w tym pojedynku na niechybną zagładę. Latająca forteca rzuciła się na pomoc.

„Znurkowaliśmy tak gwałtownie — pisze Wolfert — że upadłem na kolana i nie mogłem się podnieść. Kiedy pilot wyprowadzał maszynę do lotu poziomego, straszliwy ciężar zwałił się na mnie. Przystałem widzieć. Słyszałem tylko łoskot działek, dochodzący z dolnej wieżyczki”.

Ale to był dopiero początek.

Kiedy maszyna przeszła do lotu poziomego, byli już w chmurach. Deszcz bębnił po kadłubie. Przeciwnika nie było widać. Ludzie wyteżali wzrok na każdym stanowisku, usiłując dojrzeć coś poza ścianą wody gnanej przez wiatr.

Nagle maszyna wysunęła się z chmur, blask słońca uderzył w oczy załogi. Japoński czteromotorowiec był tuż obok, w odległości ok. 50 stóp. Rozpoczął się niezwykły pojedynek, przypominający boje średniowiecznych rycerzy.

Obie ogromne maszyny szły równolegle obok siebie, prowadząc nieustanny ogień z broni maszynowej. Z tej odległości niemal każdy pocisk trafiał.

„Maszyna trzęsła się od uderzeń kul oraz od działania własnej broni — pisze Wolfert. — Tysiące eksplozji zdawały się tworzyć jeden nieprzerwany grzmot. Widziałem wyloty karabinów maszynowych wroga skierowane na nas i dym wydobywający się z nich. Widziałem czerwone smugi naszych własnych pocisków, uderzających we wroga maszynę. Niektóre odbijały się od pancera i pędziły w przestwór. Widziałem wyraźnie Japończyków skulonych za karabinami. Ludzie po obu stronach trwali przygrygnięci, jakby walczący z wichurą, twarze mieli szare i pomarszczone, ale straszliwy ogień nie ustawał”.

Japońska maszyna ostro skręciła.

Aby uniknąć ognia z tylnego stanowiska strzeleckiego wroga i użyć własnych przednich i bocznych karabinów maszynowych, porucznik Loberg zrobił to samo. Nastąpiła chwila przerwy w walce.

Ludzie na sekundę oderwali się od broni, tępo rozglądali się wokół, wracała świadomość czasu i miejsca. Niektórzy stwierdzali, że są ranni, inni zdejmovali koszule nagle zwilgotniałe od potu.

Dalsza walka przypominała zabawę w chowanego.

Pięciokrotnie japońska maszyna zniknęła z oczu załogi B-17, korzystając z chmur. Końcowa faza pojedynku toczyła się już niemal nad powierzchnią morza. Na tej wysokości żadna załoga nie mogła liczyć na opuszczenie maszyny w momencie zestrzelenia. Część stanowisk ogniowych obu stron była już nieczynna, obie maszyny nosiły na sobie niezliczone ślady walki. W amerykańskiej Fortecy kilku ludzi było rannych, wszyscy byli ogłuszeni i porozumiewali się z trudnością.

Nagle porucznik Spitzer (oparzenia po 5 kulach, z których żadna cudownym zbiegiem okoliczności nie przebiła skóry) krzyknął:

„On się pali! Jeden z jego silników płonie!”

Japońska maszyna kończyła swój żywot.

Na pokładzie Fortecy zdrowi pomogli rannym podnieść się na nogi. Wszyscy spoglądali w dół, obserwując ostatni akt dramatu. Tam w dole, na powierzchni morza, płonął jak tankowiec japoński samolot. W centrum ogromnego morza płomiennymi czerniały kontury maszyny. Dwa niewielkie czarne punkty, może ludzie, a może szczątki samolotu, widoczne były na skrajnie objętej płomienną powierzchnią morza. W chwilę potem resztki maszyny zniknęły pod wodą, tylko morze pionoło nadal i słup dymu wznosił się ku niebu.

Latająca Forteca zawróciła do bazy.



Choroba BB.

Tak się już nazywa w Paryżu. I jest to choroba piekielnie zaraźliwa. Co druga młoda dziewczyna we Francji stara się wyglądać tak, jak Brigitte Bardot. Oto jeden z paryskich przykładów choroby BB.



Marlena

ma powodzenie

Najmłodsza (przynajmniej za taką się uważa) babka na Dietrich wystąpiła na estradzie teatru oświadczyć: „Brazytorka i pieśniarka, lijęcy rzucali we mnie kwiatami. Arwentyńczycy są jeszcze bardziej temperamentni, rzucają mną samą”. A oto scena takiego „rzucania”. Właśnie aktorkę rzucała policja.

nięta w tym tłumie, zemlała. Uratowała ją policja. Ale już w kilkanaście minut w tym incydencie Dietrich, słynna aktorka i pieśniarka, lijęcy rzucali we mnie kwiatami. Arwentyńczycy są jeszcze bardziej temperamentni, rzucają mną samą”. A oto scena takiego „rzucania”. Właśnie aktorkę rzucała policja.

ESTE

PODNIĘBYM SZLAKIEM



II. Po samoloty do... Libanu

Jeszcze tego samego dnia, 1 września 1939 roku, odleciałem do Lwowa. Po drodze mijając Tarnów z rozwalonym przez dywersantów niemieckich dworcem kolejowym. Po wojnie dowiedziałem się, że sprawcami tego czynu byli moi koledzy gimnazjaliści z Nowego Sącza z pochodzenia Niemcy. Lądowałem na zbombardowanym lotnisku w Skniłowie. Stąd skierowano mnie natychmiast na polowe lotnisko w Basiówce. Tu w pierwszym dniu wojny kończył swój żywot tysiące maszyn, tu w gospodarskich chatkach tkwiły tysiące bezrobotnych lotników. Dowódca lwowskiego lotniska — Prauss nie widział żadnej możliwości odesłania mnie do jednostki frontowej, ani żadnej pracy na miejscu. Noc z 1 na 2 września spędziłem przy kopaniu rowów na terenie lotniska. 3 września otrzymałem polecenie przebazowania samolotu R. XII do Krakowa. Wystartowałem.

W Krakowie młody oficer-pilot (podówczas podporucznik) — Iszkowski nie otrzymał nadal przydziału do frontowej jednostki. Została zarządzona ewakuacja bazy krakowskiej. Po załatwieniu spraw osobistych Iszkowski raz jeszcze odlatuje do Lwowa. Tam lotnisko w Skniłowie przestało już być terenem walk — zostało podobnie jak Rakowice w dniu 3 września zupełnie zniszczone. Samochodem szuka Iszkowski miejsca postoju bazy lwowskiej.

Żołnierze stacjonujący w Skniłowie nie umieli o niczym poinformować. Jechałem. Poniżej chciałem się napić piwa, kazałem szoferowi zatrzymać się przy pierwszej napotkanej knajpie. Wszedłem do izby wypełnionej żołnierzami. Przez uchylone drzwi dostrzegłem pewien szczegół, który naprowadził mnie na miejsce stacjonowania sztabu. W sąsiedniej izbie odnalazłem w całości okazały i kompletny sztab. Kto by wiedział, że tutaj właśnie szukać należało?!

Otrzymałem pisemny rozkaz do komendanta Centrum Wyszkolenia Lotnictwa przebywającego ze swoimi oddziałami gdzieś w rejonie Dębina o następującej treści: „Zarządnam natychmiastowe w dniu 7 września przesunięcie Centrum do m. Brody. Podpisał dowódca lotnictwa”. Rozkaz ten miałem doręczyć jak najwcześniej w dniu 7 września. Postanowiłem startować jeszcze przed świtem. Leciłem na RWD-13. Lotnisko w Dęblinie było zupełnie zdewastowane. Sterczały upiorne wraki samolotów. Ani śladu ludzkiego życia! Odleciałem w kierunku południowym na poszukiwanie Centrum. Patrolowałem główne szosy wyglądając mundurów lotniczych. Wreszcie spostrzegłem kolumnę niebieskich mundurów. W okolicy czoła tej kolumny lądowałem sześć razy na przygodnych polach, dopytując się o miejsce postoju komendanta Centrum. Za siódmym razem udało się. Motocyklem wojskowym dojechałem do chaty, w której odnalazłem zagrzebanego w pierzynie komendanta Centrum. Rozkaz doręczyłem o godzinie 6.30.

Wracałem. Zbliżając się w niskim locie do zagrody obserwowałem chłopca, który wybiegł na próg chałupy, ręką przesłonił oczy, schował się na moment i już był z powrotem z fuzją w rękę. Gdy nad nim przelatywałem — złożył się i wypalił. Tak mi się to spodobało, że zawróciłem i machając przyjaźnie ręką pozwoliłem chłopcu jeszcze kilkakrotnie wystrzelić. Po kilku minutach lotu znalazłem się w długiej kotlinie. W pewnym momencie z prawej strony spostrzegłem sześć niemieckich samolotów typu Henschel lecących zgodnie z moim kierunkiem i na tej samej wysokości. Niemcy zauważyli mnie. Z powodu ciasnoty wawozu nie mogłem skręcać do tyłu, zresztą nie miałem żadnych szans w powietrzu, dlatego natychmiast zamknąłem gaz i

lądowałem przed siebie wzdłuż zbocza pomiędzy rowami i krzakami. W ostatniej chwili chciałem gwałtownie skrócić przed głębokim rowem na hamulcach, ale ogon podkoczył raz i drugi, wreszcie zawisł wysoko w powietrzu między gałęziami drzew. Połamane gołenie wbiły się w ziemię wraz ze strzaskającym śmigłem. Musiałem chronić się lądowaniem nie przyjmując walki. Leciłem na drzewianym pudle RWD, podczas, gdy w powietrzu królowała już stal.

Przy pomocy miejscowej ludności udało mi się doszukać połamane gołenie, doczepić koła i zadrutować śmigło. Start. Udało się, podwozie wytrzymało. Śmigło wibrowało nieznośnie i powodowało duże trzęsienie maszyny. Oczywiście podczas lądowania w Basiówce mój „pocierowany” gręt rozleciał się zupełnie, a mnie wyciągnięto spod gruzów lekko na szczęście poranionego.

Propaganda, propaganda...

Nie wierzyłem propagandzie polskiej. Nie mogło być prawdą, że samoloty polskie zgromadzone w rezerwie naczelnego wodza, a tragiczna rozsyпка wojska to „taksywny odwrot”. Jako curiosum zachowałem artykuł zamieszczony 8 września 1939 w „Dzienniku Polskim” pod tytułem „Pierwszy tydzień wojny”. A oto jego fragmenty:

„Siła natarcia niemieckiego na całym froncie słabnie... Nalot 30 polskich bombowców na Berlin był uwięziony pełnym sukcesem...”

Wspaniała Armia Francji, po raz pierwszy od czasów Napoleona, wali całym impetem poprzez kraje niemieckie. Linia Zygfryda trzęsła w kilku miejscach...”

Z tych tragicznych dni zachowałem też i inny dokument, w którym Sztab Główny precyzował zadania lotnictwa polskiego w czasie wojny. Rozkaz ten nosił L. dz. 687/Mob. S. Lot./39

„Przesyłam do wykonania wytyczne dotyczące bombardowania lotniczego. Wytyczne te uzgodnione z rządami angielskim i francuskim, mają na celu nie dopuścić do rozpoczęcia przez nas działań niezgodnych z prawem międzynarodowym.

Instrukcje brzmią jak następują: Jedynie poniższe wymienione, ściśle wojskowe w najwęższym tego słowa znaczeniu, obiekty mogą być bombardowane z morza lub powietrza. Dowódcy winni się stosować do ducha tych instrukcji...”

I tu następuje wymienienie obiektów, które wolno bombardować. Zastrzegają się przy tym, że np.: „pociągi, drogi i wewnętrzne transporty rzeczne winny być atakowane tylko w razie słusznego przypuszczenia, że posiadają charakter wojskowy”. A dalej: „bombardowanie ludności cywilnej jest niezgodne z prawem międzynarodowym”. „jest zupełnie niezgodne z prawem bombardowanie obszarów w nadziei natrafienia na obiekty uzasadniające to bombardowanie, o których wie się, że znajdują się w takich okolicach, lecz nie zna się dokładnie miejsca ich położenia”. Czy nie za wiele... kurtuzji i ograniczeń działania własnych wojsk?

Pożegnania z krajem

Wskutek ewakuacji znaleźliśmy się w miejscowości Kuty, gdzie przez punkt kontrolny przechodziła cała niemal Polska. Otrzymaaliśmy polecenie zakupu cywilnych ubrań i przygotowania się do przejścia granicy. Załatwiano nam wszelkie formalności paszportowe, łącznie z fotografowaniem się. Mieliśmy opuścić Polskę, aby udać się do Libanu po odbiór bojowych samolotów. Wierzyliśmy, że na tych maszynach powrócimy, aby jeszcze wziąć udział w kampanii wojennej i chociaż raz przyjąć walkę powietrzną ze znanymi Henshlami.

OPR. A. PIODZIŃSKI

(Ciąg dalszy nastąpi)

KOBIETA, MIŁOŚĆ I HISTORIA

Jako przykład klasycznej, występującej z całą surowością praw i zwyczajów monogamii, wymienia się rodzinę grecką w tzw. okresie bohaterskim. W tym czasie żona „jest dla męża tylko matką jego słubnych dzieci — główną gospodynią jego domu, dozorującą niewolnice, z których mąż według upodobania może sobie robić nadoznicze, co też w istocie czynił”.

Ten właśnie fakt — istnienie niewolnictwa, „obecność młodych, pięknych niewolnic które należały do mężczyzny wraz ze wszystkim, co posiadały” — zdecydował o jednostronnym charakterze monogamii — „tylko dla kobiet”.

Monogamia w swej formie klasycznej rozwinęła się głównie wśród plemion jońskich (np. Ateny). — U Doryjczyków stosunki małżeńskie długo nosiły na sobie piętno wcześniejszego okresu — stąd też i pozycja kobiety była u nich bez porównania poważniejsza. W Sparcie np. (gdzie nie istniało,

tak jak w Atenach, niewolnictwo domowe — szczegół dla zrozumienia tamtejszych stosunków niesłychanie istotny) na kilka wieków przed naszą erą forma rodziny przypominała raczej „zmodyfikowane małżeństwo parzyste” niż monogamię. Małżeństwa bezdzietne rozchodzili się; nie do sporadycznych wyjątków należały wypadki, że „człowiek, któremu się lepiej podobala żona przyjaciela, mógł się nią dzielić z nim. Uchodziło nawet za rzecz przyzwoitą oddać żonę do dyspozycji jakiegoś dziarskiemu...” młodzieńcowi.

Swych wielbicielej odsyłały Spartanki do męża po... pozwolenie. Stąd też zdrada małżeńska, w tajemnicy przed mężem, była tam zjawiskiem wyjątkowym. Rzecz przy tym godna uwagi, że „spośród wszystkich kobiet greckich o jednych tylko Spartankach i elicie heter ateńskich wyrażali się starożytni z szacunkiem...” „Nico” inaczej było w Atenach. Kobieta była w domu męża tylko

służącą i przedmiotem do rodzenia dzieci. Odsunięta też była od wszelkich spraw publicznych. Chociaż prawa ateńskie żądały od mężczyzny pełnienia „minimum tzw. obowiązków małżeńskich” — to przy istnieniu niewolnictwa i szeroko rozpowszechnionej prostytucji — żona była dla niego tylko jedną z wielu kobiet, a jego troska o jej „część kobiecą” plynęła bynajmniej nie z uczuciowych pobudek. Troska ta zresztą przejawiała się w sposób szczególny: do kobiecej części domu mężczyznom (zwłaszcza obcym) wstęp był nie tylko wzbroniony, ale i utrudniony ze względu na obecność specjalnie tresowanych psów „trzymanych dla odstraszania gachów”. Część Greków przyjęła też azjatycki zwyczaj trzymania eunuchów, „których już za czasów Herodota preparowano na sprzedaż na wyspie Chios”.

Naturalnie, nie przeszkadzało to, że mimo zamknięć i straży niejedna Greczynka przyrwała mężowi rogi.

„Instytucja” ta zresztą, dodajmy, jest równie stara jak i sama monogamia i — trudno jej nie traktować jako słuszną zapłatę za brutalność, zarozumiałość i głupotę mężczyzny.

„Obok męża uprzyjemniającego sobie życie heteryzmem stoi zaniehdana małżonka”. Nic więc dziwnego, że „wraz z małżeństwem pojedynczej pary wystąpiły na scenę dwie charakterystyczne figury społeczne, dawniej nieznanne: kochanek żony i mąż — rogacz. Mężczyźni odnieśli zwycięstwo nad kobietami ale uwięzić zwycięzców podjęły się wspaniałomyślnie zwyciężone”.

Dla uniknięcia nieporozumień trzeba powiedzieć, że wiaściwa Grekom surowość monogamii nie występowała bynajmniej wszędzie. W Rzymie np. mimo że mąż miał „prawo życia i śmierci nad żoną”, o rozwiązaniu małżeństwa mógł zdecydować nie tylko mężczyzna ale też i kobieta. Znacznie wyższe stanowisko kobiet i większą ich swobodę

spotykamy także w Babilonii i w Egipcie w późniejszym okresie ich społecznego i kulturalnego rozwoju oraz u starożytnych Germanów, którzy, w chwili gdy wystąpili na arenę dziejów, żyli w małżeństwie raczej przystym i — co się z tym wiąże — wśród których prawo mścierzyste bynajmniej jeszcze wtedy nie wygasło.

Jeśli wierzyć Tacytowi, który o obyczajach współczesnych mu plemion germańskich wyraża się nadzwyczaj pochlebnie (w czym można się nie bez powodu doszukiwać względów dydaktycznych i moralizatorskich: „Germanie jako zwier-

(Dokończenie na str. 9)

zdarzenia str. 7

Lynn Morrison energicznym ruchem zaczęła pokrywać na maszynie do pisania, odwróciła się na obrotowym taborecie i plecami do stolika, przy którym siedziała i zakładając ręce na kark, przeciągnęła się mocno. Nareszcie i ten dzień pracy dobiegł już końca. Po tylu godzinach słęczenia nad manuskrytem, zapisanym czytelnym, ale drobnymi literami, napisanym przez szefa, starego Gadsby, była wyraźnie zmęczona. Oczy ją piekły, a w plecach i palcach czuła znużenie. Wyjątkowo upalny i duszny dzień lipcowy równie się do jej zmęczenia przyczynił. A jeszcze ten Jack...

Ostatnio stał się doprawdy niemożliwy. Ciągłe jakieś pretensje, żale, nieporozumienia. Zdaje mu się, że Lynn jest już jego niewolnicą i na wszystko potrzebuje zezwolenia. Nie, o tym mowy być nie może. Tego rodzaju stosunki między kobietą i mężczyzną ona absolutnie nie uznaje. Oboje mają równą prawo. To jest reguła, od której nie odstąpi. Może sobie Jack złościć się i gniewać, ale jeśli mu chociaż raz ustąpiła, koniec. To bardzo niebezpieczna rzecz taki precedens. Nieświadomie powtórzyła półgłosem:

— Nie, to niemożliwe.
— Czy mówiła pani coś do mnie? — Sidney Hart spojrział na nią przez swoje grubo szlifowane okulary.

— Ja? Ależ nie, czy powiedziałam coś w ogóle? — Lynn była zmieszana.

— Mis Morrison, czy dzisiaj ma pani wieczór również zajęty? — szczupły, wysoki, lekko przygarbiony Hart patrzył na nią w jakiś dziwny sposób.

— Jakby wiedział, że pokłóciłam się wczoraj z Jackiem — przemknęło przez głowę Lynn. — Właściwie — powiedziała głośno, przyglądając się z uwagą smagłej twarzy stojącego przed nią mężczyzny — właściwie dzisiaj przypadkiem jestem wolna.

Mówiąc te słowa czuła, że podejmuje jakąś brzemiennej w skutki decyzję.

Zwykle nieruchoma i pochmurna twarz Harta lekko się rozjaśniła.

— Byłaby więc pani może skłonna wypić ze mną kieliszek cocktailla i zjeść coś?

Dziewczyna zastanowiła się przez ułamek sekundy. Świetnie, zrobi na złość Jackowi i pokaże mu, że nie tylko on jeden ma ochotę pokazać się z nią w lokalu. Dobrze wiedziała o tym, że jest ładna i zgrabna. Zbyt wielu mężczyzn jej to już mówiło i zbyt wyraźnie odczytywała to w spojrzeniach przechodniów, czy sąsiadów w kolejce podziemnej, aby mogła mieć jakieś wątpliwości. Ale od roku, kiedy poznała Jacka zwracała uwagę głównie na to, żeby się jemu podobać. Jack też sobie z tego zdawał sprawę i to było chyba niedobrze. Lynn jak ognia bała się wpadnięcia w jednostronną zależność uczuciową od niego. Wymarzona okazja, aby mu dowiedzieć, że musi ciągle starać się o jej względy i nie przybierać w stosunku do niej pozy zadowolonego z siebie posiadacza.

— Bardzo chętnie, Mr Hart — powiedziała i poprawiła się zaraz. — Bardzo chętnie, Sidney — uśmiechnęła się do niego w sposób, który zawsze robił piorunujące wrażenie na Jacku.

— To ładnie z twojej strony... Lynn — odparł mężczyzna.

Lynn miała ochotę zobaczyć wyraz jego oczu, kiedy to mówił, ale wpadające do pokoju promienie słońca odbijały się w soczewkach jego okularów, tworząc dwie migotliwe plamy światła. Dziewczyna wyszła do umywalni i myjąc ręce przyglądała się krytycznie swojemu odbiciu w lustrze. Czas byłoby pójść już do fryzjera, ten u którego była ostatnio uczesała ją całkiem nieźle, Jackowi bardzo się podobała.

— Nie będę myślała o Jacku — postanowiła, przeczesując włosy grzebieniem — dzisiaj chcę trochę poszaleć. Po chwili uczesana i odwieziona wróciła do pokoju. Mężczyzna był już gotowy do wyjścia.

Kiedy schodzili na dół (winda znowu się zepsuła, stary Gadsby będzie miał nowy powód do narzekania) Lynn myślała o swoim partnerze. Pracowali razem zaledwie od sześciu miesięcy.

Pewnego dnia Mr Gadsby wprowadził do pokoju, w którym do tej pory siedziała sama, wysokiego mężczyznę i powiedział:

— To jest Sidney Hart, nasz nowy współpracownik. A to — Miss Lynn Morrison, której proszę oddawać do przepisania materiały, jakie pan opracuje, Hart!

W pierwszej chwili Hart nie bardzo podobał się Lynn. Uznała, że jest zarozumiały i antypatyczny. Poza tym zdawało jej się, że wyczuwa w nim nieuchwytną niechęć. Nie rozmawiał z nią prawie wcale, a główny temat rozmów ograniczał się tylko do wyjaśnienia jakiegoś mniej czytelnego słowa, albo technicznej strony układu pisma. Jego charakter pisma denerwował Lynn. Pokręcone, dziwaczne litery, zlewające się jedne z drugimi, słowa niedokończone i jakby bezsilnie ginące, zanim wyraziły to, co było ich celem, wszystko razem wcale nie łatwe było do przeniesienia na gładki, surowy maszynopis.

Pierwsza rzecz, która ją w Hartie uderzyła dodatnio, to były jego ręce. Mocne i zarazem subtelne, o szerokich dłoniach, których szerokości się jednak nie zauważało, bo zrównoważona była długością wysmukłych palców.

Kiedyś, na wiosnę, Lynn, zapominając, że nie właściwie o Hartie nie wie, wykrzyknęła z niechęcią patrząc przez okno:

— Ach, jak mi się dzisiaj nie chce robić, posłałabym chętnie gdzieś na spacer... — urwała.

Była bardzo zaskoczona, kiedy Sidney swoim niskim, trochę matowym głosem powiedział:

— Ja także.

Więcej już na ten temat nie mówił, ale od tej pory stosunki między nimi zaczęły się zdecydowanie poprawiać.

Wreszcie jakoś miesiąc temu, Sidney po raz pierwszy zaproponował jej pójście razem do lokalu, czy kina. Oczywiście odmówiła. Jack byby przecieź wściekły, a ona sama wolała także wieczór spędzić ze swoim chłopcem, niż z tym trochę niepokojącym Sidneyem Hartem.

Wyszli na ulicę. W tłumie przechodniów spieszących do domu po pracy mignęła jakaś znajoma postać. Jack! Odwróciła głowę w stronę Sidneya i uśmiechnęła się do niego. Kiedy w moment później obejrzała się w kierunku Jacka, nie zobaczyła go więcej. Może to zresztą nie był on? Światło dnia stało już nieco niepewne, a mieszające się z nim odblaski zapalających się neonów i rozjaśniających stopniowo wystaw sklepowych, pogłębiały wrażenie zmienności obrazów.

— Czy ktoś znajomy? — spytał Sidney.
— Ach nie, zdawało mi się tylko, zresztą, to nic ważnego — odparła lekko, biorąc Sidneya pod rękę.

Szli w gwałnym tłumie wielobarwnie ubranych kobiet i mężczyzn. Lynn spoglądała na nieruchomy profil swego towarzysza i nagle przebiegła ją niewytłumaczalny dreszcz niepokoju. Kompletna bzdura. Przeżywa nastroje bohaterki trzeciorzędnego romansu. Na skrzyżowaniu ulic zatrzymali się i Sidney przywołał podniesieniem ręki przejeżdżającą taksówkę.

— Romeo Cocktail Bar — powiedział do kierowcy.

od Harta, żeby ją odwiedził z powrotem do miasta. Mężczyzna zauważył widocznie jej speszoną minę, bo powiedział:

— Nie zrażaj się Lynn, w środku jest dużo przyjemniejszy.

W pierwszej chwili zachnęła się na nazwanie jej po imieniu, ale zanim zaprotestowała, przypomniała sobie, że pierwsza zaczęła do niego tak mówić. Taksówka odjechała. Zostali sami w gęstniejącym zmierzchu. Hart wyjął z kieszeni duży, staroświecki klucz i zaczął nim manipulować przy zamku furtki. Zgrzytnęło i furtka otworzyła się. Podeszli do domu. Kamienne płyty wydawały pod ich stopami głuchy odgłos. Po trzech stopniach weszli na małe podest. Znowu Hart wyjął z kieszeni klucze i otworzył podwójny zamek.

— Cóż to za niezdoła forteca — zaśmiała się trochę nieszczerze Lynn, która zaczęła już teraz naprawdę ogarniać lęk.

To wszystko razem: stary dom, pusta ulica, zmrok, dom zamknięty na kilka zamków i nieruchoma twarz Harta, wytwarzała atmosferę nierealności, pochodzącą jakby z męczącego snu. Jeszcze raz przez głowę Lynn przebiegła myśl o cofnięciu się. Było już za późno. Drzwi domku otworzyły się i Lynn ujęta pod rękę przez Harta weszła do zupełnie ciemnego hallu.

— Zaraz zaświecę światło — tuż przy uchu usłyszała głos Harta.

Szczęknięły oba zamki. Sidney widocznie uważał za stosowne najpierw zamknąć drzwi. Przesunął się obok niej w ciemnościach i słaba lampka zawieszona nad schodami oświetliła wnętrze. Hall był ponury.

— Zebyś została tu ze mną moja droga, na zawsze — odparł spokojnie.

Patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc.

— Jakiś, żebyś została z panem, ależ dlaczego, czego chce pan ode mnie? — mówiła zalamującym się głosem, który nadaremnie usiłowała opanować.

— Usiadźmy i porozmawiajmy — podsunął jej fotel — wszystko ci wyjaśnię i na pewno się ze mną zgodzisz.

Czując że nogi jej drżą, Lynn osunęła się na miękki fotel. Sidney przysunął sobie drugie krzesło i usiadł naprzeciwko niej. Chciał już zacząć mówić, kiedy nagle z głębi domu dobiegło ich jakieś stuknięcie. Hart zerwał się i nasłuchiwał. Hałas nie powtórzył się. Mężczyzna stał przez chwilę z przechyloną głową, podobny teraz do ogromnego ptaka. Mruknął:

— Zaczekaj, muszę sprawdzić.

Wybiegł z pokoju. Lynn zerwała się z fotela, chcąc biec za nim, ale zamknął jej drzwi przed nosem. Klucz zgrzytnął w zamku. Została sama z sześcioma martwymi postaciami. Ich uprzejmie uśmiechnięte twarze i nie wyrażające żadnego uczucia oczy, napawały ją teraz przerażeniem. Rozglądała się rozpaczkliwie po pokoju, szukając drogi ucieczki. Na palcach podbiegła do ciężkich portier osłaniających jedyne w pokoju okno i odsunęła je na bok. Chwyliła za klamkę, przekreśliła ją i szarpnęła. Okno nie drgnęło. Drugi raz, trzeci. Zrozumiała. Okno było zastrubowane. Bez narzędzi nie można było go otworzyć. Podniosła do góry torebkę chcąc jej zamkiem uderzyć w szybę, kiedy usłyszała zgrzyt klucza. Hart wszedł do pokoju.

— Musiałem się przesłyszeć — powiedział — albo ten hałas dobiegł z zewnątrz. Nikogo poza nami, no i oczywiście naszymi gośćmi w domu nie ma.

Usiadł znowu na krześle, zapraszając ręką Lynn, żeby zajęła opuszczony przed chwilą fotel. Dziewczyna z ociąganiem posłuchała. Nic nie mogła zyskać w tej sytuacji, sprzeciwiając mu się. Może to wszystko okaże się tylko jakimś potwornym żartem, może Hart roześmieje się za chwilę i powie, że chciał ją tylko nastraszyć.

— Miałem więc wytłumaczyć ci, moja droga, na czym to wszystko polega — zaczął Sidney, patrząc na nią polyskującymi szklami okularów. Dużo dałaby w tej chwili, żeby widzieć wyraz jego oczu.

— Widzisz — mówił — długo szukałem dla siebie odpowiedniej kobiety. Ile razy spotkałem jakąś, która, zdawałoby się, miała wszystkie zalety jakich oczekiwałem, zawsze okazywało się, że coś staje na mojej drodze do niej.

Zwrócił się w stronę rudej lalki.

— To jest Margaret. Moja pierwsza miłość. Kochałem ją bardzo, ale nie znalazłem w jej oczach uznania. Wybrała kogoś innego. I wtedy właśnie, to już było dawno temu, wpadłem na pomysł. Jeśli nie mogę mieć żywej Margaret, będę miał chociaż jej wierny portret. Długo studiowałem technikę sporządzania takich dokładnych kopii natury. Robiłem setki prób. Wreszcie udało się. Posadziłem ją w tym pokoju przy stole i co dzień odwiedzałem. Mówiłem do niej, opowiadałem jej o wszystkim co mnie spotyka i byłem szczęśliwy. Ale stopniowo zaczęłam zauważać, że Margaret smutnieje. Nie stanowiłem dla niej widocznie odpowiedniego towarzystwa. Myślałem nad tym problemem tak długo, aż go rozwiązałem. Dla nieprawdziwej kobiety partnerem mógł być tylko taki sam mężczyzna. Stworzyłem więc nowego Sidneya Harta. Siedzieli teraz tu oboje, patrząc na siebie.

Ta blondynka — kontynuował — to Lucy. Kiedy tylko prawdziwa Lucy powiedziała mi, że mnie nie kocha, zabrałem się do roboty. Ale tym razem byłem już mądrzejszy i nie chciałem sprawiać jej cierpienia. Od razu stworzyłem parę: Lucy i Sidneya. Widzisz tę trzecią, brunetkę, nazywała się Evelyn. Ja kochałem najbardziej z tych trzech. Ale i ona nie była dla mnie. Szczęśliwa mężatka, zakochana w swoim mężu, wysmiała mnie, kiedy jej wspominałem o moich uczuciach. Tak więc powstała trzecia lalka i jej partner. Kiedy w tym roku zacząłem pracować w firmie Gadsby i szef wprowadził mnie do pokoju, w którym siedziałas, oślniła mnie prawda. Przecież ty jesteś niezwykle podobna do Evelyn i nawet twoje imię brzmi podobnie. Postanowiłem cię zdobyć. Długo cię obserwowałem i coraz bardziej mi się podobała. Stopniowo wspomnienie o Evelyn zbladło, albo raczej złączyło się w jedno z żywą Lynn. Ale nie mogłem narazić się przecież na to, żeby i ciebie stracić. Przyprowadziłem cię więc tutaj, żeby ci wszystko opowiedzieć i zapytać, czy dobrowolnie zgodzisz się ze mną pozostać na zawsze.

Sidney umilkł na chwilę. Lynn miała wrażenie, że strach sparaliżował ją zupełnie.

— Teraz zrozumiawszy wszystko. Ten człowiek był szalony.

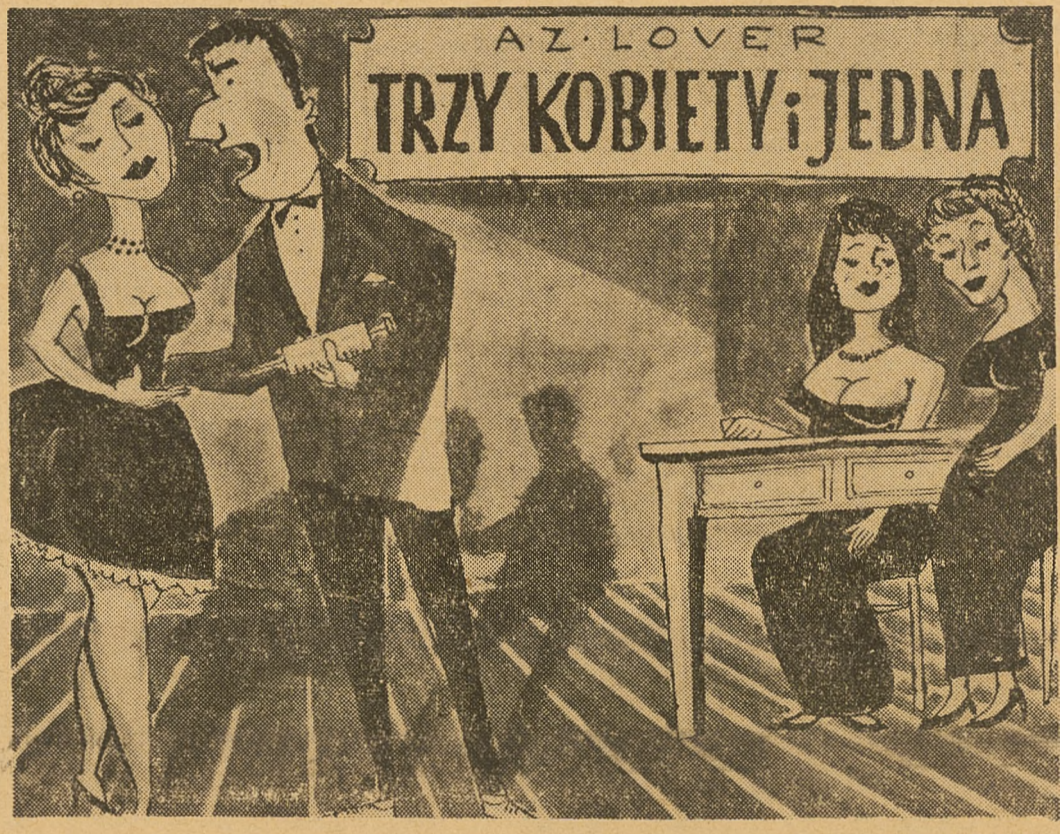
— A jeśli nie zechcę — spytała drżącym głosem.

— Wtedy umrzemy oboje — odparł tak naturalnie, jakby mówił o codziennych, biurowych sprawach — najpierw ty, po tym ja. Przygotowałem na wszelki wypadek strzykawkę z trucizną. Umrzesz spokojnie, jakbyś zasypiała. Nie chcę przecież sprawić ci bólu. Kiedy będziesz już martwa, ja wstrzyknę sobie tę samą truciznę i umrę także, trzymając cię w objęciach. To bardzo piękna prawda?

Dziewczyna myślała gorączkowo. Musi stąd uciec, drzwi są przecież otwarte, nie zmykał ich od wewnątrz po powrocie z dołu.

— Muszę się trochę zastanowić — powiedziała, wstając z fotela i przechadzając po pokoju.

— Muszę się trochę zastanowić — powiedziała, wstając z fotela i przechadzając po pokoju.



Rys. STEFAN BERDAK

Mały, przytulny lokalik był o tej porze prawie pusty. Usiedli przy stoliku. Sidney zamówił dwa cocktaile i jakieś zabawne precelki. Pili w milczeniu. Lynn przyglądała się uważnie swemu vis-à-vis. Było coś niezwykłego w spojrzeniu jego prawie nieruchomych niebieskich oczu, których kontury rozpyływały się pod grubymi szklami okularów.

— Czy przyprowadził mnie pan tu po to, abym słuchała pańskiego milczenia? — spytała wreszcie Lynn.

Przez chwilę nie odpowiadał. Wreszcie powiedział z namysłem:

— Zastanawiałem się, czy panią zainteresowałoby towarzystwo, które zebrałem u siebie. Dla mnie to najbardziej atrakcyjne zbiorowisko, jakie można sobie wymarzyć. Myślę, że i pani by się spodobało.

— Zaczyna się. Zupełnie przepisowo, chce mi pokazać jakieś zbiory, co prawda nie longplay'ów, czy pudełek zapalek, ale w każdym razie zasada nie ulega zmianie — pomyślała Lynn.

— Proszę mi coś bliższego o nich opowiedzieć — rzekła — żebym mogła się zdecydować.

— Lepiej byłoby spotkać ich bez przygotowania, wtedy wrażenie na pewno byłoby większe, ale jedno jest pewne, nie pożałuje pani tej wizyty.

— Czy jest pan pewny, że oni są w domu? — Spojrzął na nią z wyrzutem, jak się jej zdawało.

— Oczywiście, oni są zawsze u mnie.

— Jak to, więc to pańska rodzina? — spytała zaciekawiona.

— Może pani tak ich nazwać — uśmiechnął się zagadkowo.

Mimo protestów Lynn wypili jeszcze po jednym cocktailla. Dziewczyna poczuła, że lekko jej się w głowie kręci i równocześnie ogarnął ją nastroj takiego rozbawienia i wesołości, jakiego już dawno nie przeżywała.

Roześmiana wsiadła do taksówki.

— Campbell Lane 36 — Hart podał adres.

Jechali długo, zmierzając w kierunku przedmieść. Zatrzymali się wreszcie przed odrapaną furtką, prowadzącą do niewielkiego, zaniedbanego ogródka, przez który wąska, krótka ścieżka, wykładana kamiennymi płytami wiodła do jednopiętrowego domku, zdecydowanie wymagającego remontu. Nastroj wesołości stopniowo przemijał. Cała wyprawa przestała się teraz Lynn podobać. Gdyby nie ambicja, zażądałaby natychmiast

Nie stał tu ani jeden mebel, nie licząc starego wieszaka, na którym umieszczone były dwa męskie piaski.

— Na górę, idziemy na górę — Sidney Hart mówił teraz jakby innym, bardziej ożywionym niż to kiedykolwiek Lynn słyszała, głosem. Zawahała się, ale mężczyzna ujął ją silnie pod rękę i nie zauważając jej lekkiego oporu prowadził po schodach. Lynn zagryzła wargi i powiedziała sobie:

— Zaczęłaś, ty idiotko, wielką przygodę, to nie cofaj się teraz. Na wprost schodów znajdowały się zamknięte drzwi. Sidney podprowadził do nich dziewczynę, otworzył drzwi szeroko i rzekł:

— Proszę, wejdz Lynn i zapoznaj się z całym towarzystwem.

Trzymając ją za rękę, przekreślił wyłącznik. Po ścianach i suficie przebiegły niebieskawe wężyki. Lynn wzdygnęła się. Po sekundzie odetchnęła z ulgą. To tylko lampy jarzeniowe. Podłużne ich rury wypełniły się światłem, które zalało cały pokój. Na środku stał okrągły stół, wokół którego siedziało sześć osób. Trzy kobiety i trzech mężczyzn. Kobiety były młode i zachwycająco śliczne. Brunetka, blondynka i trzecia, jasnoskrawa ruda. Modnie uczesane, ubrane były w wieczorowe suknie. Trzej mężczyźni podobni byli nawzajem do siebie w sposób wprost zatrważający. Do siebie i do... tak, do Sidneya Harta. Speszona Lynn powiedziała:

— Dobry wieczór.

Odpowiedziało jej milczeniem. Wszystkie postacie zwrócone były do niej dziwnie martwymi twarzami. Powtórzyła:

— Dobry wieczór — i zrobiła dwa kroki naprzód.

Tak, oni byli wszyscy martwi. I nigdy żywi nie byli. Jakiś mistrz wykonał tych sześć postaci ze sztucznego tworzywa tak wspaniale, że tylko ich bezruch i martwy wyraz otwartych oczu pozwalał odkryć, że nie są żywymi istotami zastygłymi na chwilę w wygodnej pozycji.

Odwróciła się w stronę Harta. Na jego twarzy malował się wyraz wprost dzikiego triumfu.

— Nie rozumiem — powiedziała pół szepem Lynn — co to wszystko znaczy? Po co mnie pan tu przyprowadził? Czy to ma być jakiś żart? — Mężczyzna milczał, uśmiechając się.

— Mr Hart — mówiła pospiesznie Lynn — proszę mi powiedzieć, o co panu chodzi, po co przyprowadził mnie pan do tego dziwnego domu?

Konkurs Wakacyjny

Reproduujemy dzisiaj dalsze dwa zdjęcia nadesłane na Konkurs Wakacyjny. Pierwsze nadesłał p. **ANTONI WAŁĘGA**, Przemysł, Kasprzowicza 10 (Skomplikowany przejazd). Autorem drugiego zdjęcia jest p. **JERZY DZIADOSZ**, Jarosław („Nad Rudawą”). Obaj autorzy mieli już zamieszczone zdjęcia w ramach tegorocznego Konkursu.

ADAM DZIERWA, Brzesko—Okocim, ul. Kościuszki 3. Dalsze nadesłane nam zdjęcia są również interesujące. Zatrzymujemy w tece redakcyjnej. Dobieranie tytułów do zdjęć nie będzie miało wpływu na ocenę samych zdjęć. To już należy do obowiązków redakcji.

JAN ROCZNIK, Kraków, Szlak 16a. Niestety zdjęcia są kolorowe i nie możemy ich reprodukowac w naszej technice. Niezależnie od tego zdjęcia biorą udział w Konkursie.

JÓZEF BARAC, Kielce. Prosimy koniecznie o powiększenie nadesłanych zdjęć do formatu 13x18 ze względu na projektowaną przez nas wystawę konkursową.



CODZIENNE RANO PRZED 8...



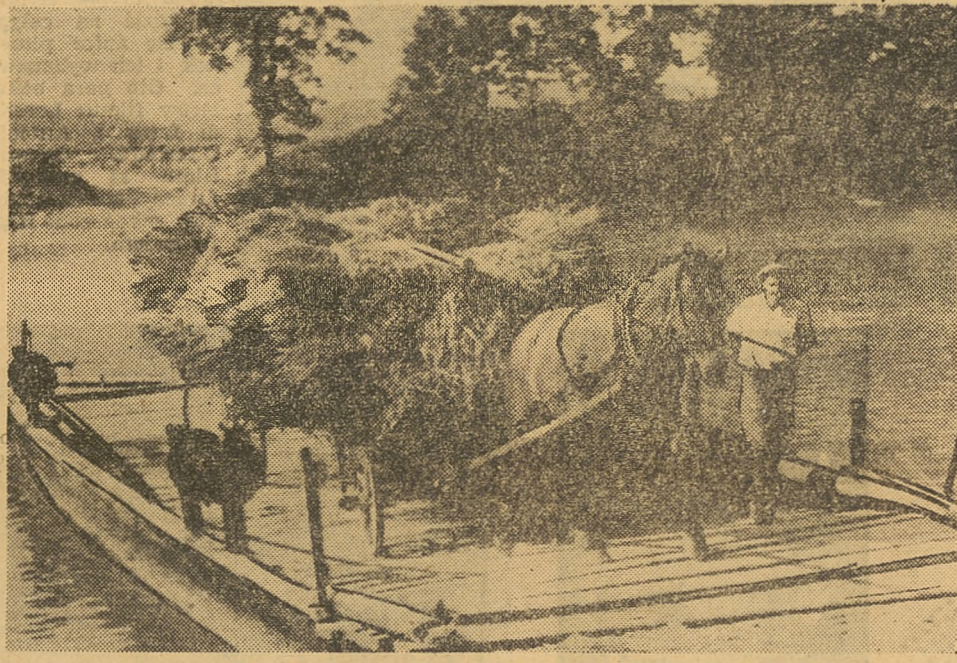
Kobieta, miłość i historia

(Dokończenie ze str. 7)

ciadło cnoty pokazywane rozpustnym Rzymianom" — to swoboda seksualna dziewcząt była u nich ograniczona, zerwanie małżeństwa utrudnione — chyba że żona dała powód swym wiarołomstwem — a rola kobiety w domu niemalże dominująca.

Cała ta opisana przez rzymskiego historyka surowość obyczajów, doskonałe zresztą godziła się z wielożenstwem ludzi możnych.

Warto będzie — w oparciu o zachowane źródła — przeprowadzić jeszcze porównanie życia małżeńskiego (i pozamałżeńskiego) oraz obyczajów starożytnego Babilonu, Egiptu i Izraela. Ale — o tym dopiero za tydzień. **K. WOLAN**



Kto uzyskał nagrodę w Konkursie Wiosenno-Turystycznym

Komisja Turystyki i Ochrony Przyrody LPZ oraz redakcja „Zdarzeń” ogłosiły w kwietniu br. Konkurs Wiosenno-Turystyczny na opowiadanie zawierające wrażenia z wycieczki lub pobytu na wczasach. Na Konkurs nadeszło 115 prac z różnych stron Polski. Jury złożone z przedstawicieli Komisji i Redakcji oceniło nadesłane prace, przyznając nagrody następującym Czytelnikom: **BARBARA CZAPKIEWICZ** (aparat fotograficzny), **WŁADYSŁAW ADA KRUPA**, Kraków, 18 Stycznia 21 (aparat fotograficzny), **MIECZYSLAWA STOKŁOSOWA**, Oświęcim (termos), **WANDA BRUDKA**, Kraków - Podgórze, Szkoła Podstawowa 23 (termos), **EWA PAGACZEWSKA**, Kraków, Biernackiego 9/5 (plecak), **J. SZCZEPANKIEWICZ**, Kraków, Sarego 24/13 (termos), **KRYSTYNA KORAB** (plecak), **ZENON SLABOŃSKI**, Nowa Huta, Bulwarowa 19 (termos), **ANTONI IMIELSKI** (Bielsko, ul. Mickiewicza 18 8 (termos), **ANDRZEJ WĘGLARZ**, Szczawnica, Park Dolny 7 (książka), **STANISŁAW STĘPIEN**, Poznań, Marszałkowska 8/23 (książka), **MALGORZATA SMYK**, Kraków (książka), **KAZIMIERZ KUZIEMSKI**, Mielec, Osiedle, Blok 54/35 (książka), **JAN CZERWIŃSKI**, Łasek pow. Nowy Targ (książka), **JADWIGA PODHAJNY**, Kraków, ul. Bitwy pod Lenino 5 (książka), **AMELIA SZCZEPANŃSKA**, Kraków, Ariańska 8/8 (książka), **JÓZEFA MUCHA**, Nowa Huta, ul. Demakowa 65/7 (książka), **BARBARA OLEKSYN**, studentka chemii U. J. (książka).

Ponieważ kilku uczestników Konkursu nadesłało niepełne adresy, prosimy o uzupełnienie ich na adres Redakcji w możliwie szybkim terminie.

Kącik kulinarny

KOTLECICKI CIEŁĘCE PO ROSYJSKU

Wziąć: 1/2 kg cielęciny, 15 dkg łożu, ok. 4 dkg masła, pół bułki, namoczonej w mleku, jajko, sól. Mięso, masło, łoż oraz bułkę przepuścić przez maszynkę, a następnie całą masę dobrze wyrobić z jajkiem i solą.

Uformować okrągłe kotleciki i smażyć na maśle. Podawać z ziemniakami i surówką.

JAJECZNICA PO WĘGIERSKU

Pokrajać drobno świeżą słoninę, na niej przesmażyć posiekaną młodą cebulę. Gdy się przyrumieni na kolor złoty, wbić jajka, posolić, posypać papryką. Smażyć jak zwykle.

Przed podaniem posypać ostrym tartym serem.

W następnym kąciku: **JAPONSKA POTRAWA Z LUKULLUS**

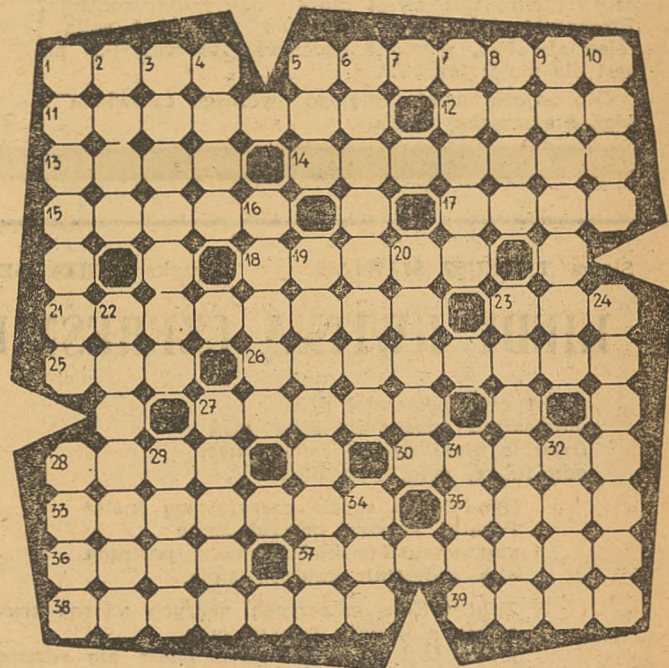
Kto wylosował książki w krzyżówkach

1. **JERZY TURANT**, Katowice, Francuska 59 a m 11, 2. **GERTRUDA SADOWSKA**, Toruń, Moniuszki 37 a, 3. **ZOFIA BRÓZDA**, Kraków, 28, Bieńczyce. 4. **KLARA BIEDERMANOWA**, Poznań ul. Zeylanda 9/11 a. 5. **MARIA ZAJĄC**, Kraków, Cieszyńska 4/8. 6. **KAZIMIERZ PROKSA**, Jaworzno, Górnicza 5. 7. **PAWEŁ WESTRYCH**, Kraków, Szlak 13/5. 8. **JOACHIM GRĄDZKI**, Przeciszyn 55, pow. Oświęcim. 9. **MAGDA SZULC**, Kraków, ul. Smoleńsk 2. **CRFO**. 10. **JÓZEF NOWAKOWSKI**, Toruń, Rejtana 9.

KRZYŻÓWKA nr 36

POZIOMO: 1. Rodzaj dźwiłgi pochylej, używanej w hutach, 5. Blizniaczy brat Heraklesa, 11. Imię żeńskie, 12. Imię znanej amerykańskiej gwiazdy filmowej, 13. Najwyższy urzędnik w dawnej Sparcie, 14. Nazwa pałacu w miastach hiszpańskich, 15. W znanej piosence śpią w jeziorze, 17. To samo co przeszkoda, zawada, zapora, 18. Klosze do lamp mające kształt kuli, 21. Tytułowa bohaterka znanej powieści Lwa Tolstoj, 23. Zaimek, 25. Skrót spotykany na receptach, nakazujący sporządzanie leku ze składników w równych ilościach, 26. Rodzaj odkrytego powozu z kołem w tyle, 27. Patrzy na nie ciebie, 28. Rzymski Eros, 30. Tytuł zwierchnika mahometanckiego, 33. Dziewiąty miesiąc w kalendarzu arabskim, będący okresem wielkiego postu, 35. Część wialni, 36. Energetyczne wystąpienie przeciw komus, 37. Rzemieślnik, mający do czynienia z miękkimi meblami, 38. Słynny sultan turecki, który doprowadził kraj do szczytu potęgi i nazwany został Dawcą Praw, 39. Część drzwi.

PIONOWO: 1. Inaczej: obszar, przestronna, 2. Bezdki, kadzie, 3. Linia łącząca na mapie punkty o jednakowym ciśnieniu atmosferycznym w pewnym okresie czasu, 4. Ogród miejski, 5. Rzeka Zalewu Szczecińskiego, 6. Dawna mała armata polowa, zwana śmigownicą, 7. Kwadraciki innej barwy na tkaninie, 8. Imię kobiety ze słynnego obrazu Leonarda da Vinci, 9. Rodzaj azurowej, błyszczącej tkaniny wełnianej, 10. Imię wybitnej aktorki francuskiej, 16. Znany działacz ludowy, obecny wicepremier PRL, 19. Zupa cytrynowa, 20. Rodzaj przewoźnego pomieszczenia, 22. W muzyce: z ozywieniem, 23. Obszar rozciągający się przed nami, 24. Figura retoryczna, 27. Tytuł sfilmowanej powieści J. Meissnera, 28. Rzeka w Armenii, wpadająca do Morza Kaspijskiego, 29. Inaczej: trochę, niewiele, skąpo, 31. Pasma górskie w pobliżu Mekki, 32. Z jacińskiego: również, także, 34. Południe chińskie.



ROZWIĄZANIE „Zdarzenia” z nr 35

POZIOMO: 1. awana, 5. boraks, 11. myta, 12. baronet, 13. Irydion, 14. papa, 15. doki, 16. kalif, 17. od, 18. Akita, 21. lek, 23. ate-toza, 25. kamfora, 26. ana, 29. araka, 31. AP (A. Piccard), 32. samar, 35. rata, 37. Ares, 38. fllaret, 39. malatia, 41. ramy, 42. anemon, 43. wakat.

PIONOWO: 1. amidol, 2. wyrodek, 3. etyk, 4. Nadia, 5. ban, 6. or, 7. ropa, 8. analiza, 9. kepi, 10. Staff, 12. bonitor, 16. Katak, 19. kafar, 20. terapia, 22. kar-mele, 24. anatema, 27. apaty, 28. Asama, 30. arara, 33. Aran, 34. Asam, 36. arak, 38. Fin, 40. ro.

Trzy kobiety i jedna

Sidney siedział na krześle i wodził za nią wrokiem. Zbliżyła się do drzwi i nagłym szarpnięciem otworzyła je. Już miała wybiec na ciemne schody, kiedy szaleniec chwycił ją żelaznym uściskiem swoich długich rąk i wciągnął do pokoju.

— Nie, tak mi łatwo nie umkniesz — krzyczał dziwnie piskliwym głosem, zupełnie innym niż ten, którym zwykle przemawiał.

Lynn szarpała się i walczyła całym wysiłkiem mięśni i ścięgien, ale Sidney był mocniejszy. Rzucił ją wreszcie na fotel i sięgnął do bocznego stolika, stojącego przy ścianie. W jego ręce błysnęła strzykawka napełniona żółtawym płynem.

Zbliżył ją do obnażonego ramienia dziewczyny, kiedy drzwi pokoju otworzyły się gwałtownie i do środka wbiegło dwóch policjantów, a za nimi Jack. Policjanci wprawnymi ruchami pokonali opór zapalczywie broniącego się szaleńca i w kilka chwil później stalowe kajdanki zamknęły się ze szczykiem na przegubach jego rąk. W czasie szamotaniny Sidneyowi spadły okulary. Jego bla-

do niebieskie nieprzytomne oczy patrzyły na Lynn z wyrazem nieopisanego żalu i smutku.

Jack mówił gorączkowo:

— Sledziłem cię, to właściwie nieładnie z mojej strony, ale co za szczęście, że tak postąpiłem. Udało mi się włamać do domu przez okienko spiżarni. Szukał mnie ten bydlak, ale nie znalazł. Kiedy się zorientowałem słuchając pod drzwiami, że Hart jest szaleniec pobiegiem po pomoc. Nie mogłem narażać cię na to, żeby zrobił ci krzywdę, gdyby okazał się silniejszy ode mnie. Spotkałem patrol zaraz za rogiem. Zdążyliśmy, Lynn, co za szczęście!

Dziewczyna nie słuchała. Patrzyła w tragiczne oczy Sidneya i nagle wstała, pochyliła się nad skutym szalencem i pocałowała go w usta.

Odrzucając rękę Jacka, który chciał ją zatrzymać, wybiegła z pokoju.

Tłumaczył:

Zbigniew Wyrostek

Co tydzień premia Czytelnicy oceniają »Zdarzenia«

Zwróciliśmy się do naszych Czytelników z prośbą o nadsyłanie swojej oceny o naszym piśmie. Ocena ma być krótka, ograniczać się do wymienienia poszczególnych pozycji i zaznaczenia, w jakim stopniu dana pozycja w bieżącym numerze „Zdarzeń” wzbudziła zainteresowanie. Ponieważ nasza prośba wywołała żywy odzew, postanowiliśmy wśród nadsyłających ocenę rozlosować co tydzień od 2 do 5 książek w zależności od liczby nadesłanych ocen.

Pierwsze premie wylosowali: 1. **MIECZYSLAW RYCHEL**, Oświęcim, Mały Rynek 7 i 2. **HELENA WIŹCIEK**, Kraków, Urzędnicza 60/7.

Aby brać udział w losowaniu, wystarczy na kartce papieru wypisać poszczególne pozycje a obok nich krótkie uwagi np. 1. przeczytałam jednym tchem, 2. przeczytałam z dużym zainteresowaniem, 3. przeczytałam artykuł bez specjalnego entuzjazmu, 4. artykuł jest zdecydowanie nudny, 5. artykuł nie powinien pojawić się w piśmie.

Określenia mogą być oczywiście inne, a skala ich o wiele szersza. Nadsyłane uwagi pozwolą nam zorientować się w zainteresowaniach naszych Czytelników, w ich gustach i upodobaniach. Sądzymy, że tą drogą wytworzy się jeszcze ściślejsza więź i pozwoli nam coraz lepiej redagować pismo.

Dziękujemy wszystkim tym Czytelnikom, którzy przesłali już swoje uwagi na nasz pierwszy apel. Każdy może oczywiście przesyłać co tydzień ocenę bieżącego numeru i tym samym brać udział w losowaniu.

POTWÓR W MEKSYKU

Kilka tygodni temu do chłopca na posyłki, przechodzącego obok kamiennego i zamkniętego jak twierdza domu położonego na peryferiach Meksyku, wyciągnęła się poprzez okienne kraty mała niemal dziecięca ręka, wręczając mu niespodziewanie kartkę. Jej treść: „Panie sędzio. Proszę nas zabrać z sobą”. Chłopak oddał kartkę szefowi, a ten z kolei policji. Wkrótce do zakratowanych drzwi ponurego domostwa zastukali przedstawiciele władzy.

— Panowie od sądziego? zapytał dziewczęcy głos.

— Niby... tak wyjął policjant.

— To może lepiej, żeby panowie odeszli. Ojciec wyszedł ale gdyby wrócił i zobaczył was tu, to nas by pozabijał.

— Otwórzcie — zniecierpliwili się policjant — o co wam właściwie chodzi. No, otwórzcie.

— Nie możemy. Jesteśmy zamknięci.

Policjanci nie namyślali się dłużej. Wdrapali się na mur otaczający dom — twierdzę i wdarli się do...

— Weszliśmy do średniowiecza — opowiadali potem reporterom. Kobieta i jej sześcioro dzieci były od 15 lat uwięzione w wielkim ciemnym lochu, otoczonym fosą, napełnioną zgnilą, zielonkawą wodą. Matka miała tylko dwa gliniane naczynia do gotowania strawy. O sztućcach czy nożach nie mogła nawet marzyć. Wieczorami mogła zapalać ogarki świec dla oświetlenia lochu. Drewniane stoły były zarówno stołami jak i łózkami rodziny. Ustawiano je jedne na drugich jak koje w kajutach marynarskich. W takich warunkach utrzymywał swoją rodzinę 54-letni Rafael Perez Hernandez, mąż i ojciec. Z zawodu — pokątny wytwórca trucizny na szczury.

Na wracającego do „domu” Pereza czyhała policja. Zabrano go na komisariat. Tam wyjaśnił ze swego punktu widzenia całą historię więzionej rodziny. Potwór to kaleka. Utracił prawą rękę w wypadku ulicznym. Oświadczył, że nie wierzy w nią i w nikogo. „Nie ma dla mnie ani Pana Boga ani żadnych doktorów.” Pierwsze swe dziecko nazwał „synem Słońca”. A gdy zachorowało na czerwonkę, powiedział żonie: „Natura sama je wyleczy”. Syn Słońca umarł. W rok później urodziła się Ewolucja Świata aby wkrótce umrzeć z powodu braku lekarstw. Gdy na świat przyszła następna córeczka i zachorowała, żona błagała tyrana, aby pozwolił dziecko ratować. To jest twój doktor — krzyknął wtedy pan i ojciec, wymachując 38-calowym rewolwerem. I wtedy zamknął rodzinę, za karę, do domowego więzienia. Córeczka ma dziś 17 lat, jej brat Wolność ma 15, Władca — 14, Zwycięzca — 12, Dobre Życie 10 a Ewolucja Myśli Liberalnej urodziła się 9 tygodni przed wyjawieniem całej sprawy.

Wszystkim domownikom wolno było oglądać świat zewnętrznym przez otwór w żelaznych drzwiach. I to nie zawsze. Cały dzień musieli pracować, pomagając ojcu i katoowi w wyrabianiu trucizny na szczury. Oczywiście o żadnej nauce nie było mowy. Dzieci znają zaledwie 300 słów, którymi posługują się w rozmowie. Szyje dzieci pełne są blizn od ostrza noża, którym tatuś wymuszał bezwzględne posłuszeństwo. Nie wolno było prosić o większą porcję jedzenia ani o chwilę wolnego czasu na zabawę. Sama myśl o wyjściu na słońce uważana była za zbrodnię. Rozpaczliwą prośbę „do pana sądziego” napisała 17-letnia dziewczynka. Sądzia to był jeden termin prawniczy, który znała. Zwycięzca — 12-letni chłopczyk dostał ataku strachu na widok auta policyjnego. Bał się tego dziwnego potwora. Wzięty do kina Wolność (chłopak) nie chciał wierzyć swoim oczom, że coś takiego w ogóle może istnieć. Dzieciaki płakały z radości, gdy zobaczyły słońce, park, trawę i drzewa. Ojciec został uwięziony. Bedzie odpowiadał za porwanie dzieci, nielegalne posiadanie broni palnej, gwałt, wymuszanie pracy na nieletnich i wiele innych zbrodni. Potwór oświadczył: „Jestem wolnym człowiekiem. Cóż świat może dać mojej rodzinie? Prostytucję, zbrodnię, pijaństwo, rock and rolla i telewizję. Nie, panowie sądziego, to wszystko nie jest dla mojej rodziny.”

Oto zdjęcie uśmiechniętego „wolnego człowieka” i jego nieszczęsnej rodziny.

PRZED PROCESEM W BIAŁYMSTOKU

(Dokończenie ze str. 3.)

łymstoku i okolicy mówi się wkrótce powszechnie o lekarce, która czyni cuda.

Późniejsze śledztwo wykryło jednak, że przez dwa lata dr Kostkowska przyjmowała pacjentów w domu bez wykupienia karty rejestracyjnej, dzięki czemu nie płaciła podatków. Jak wynika z badań wydziału finansowego prezydium Rady Narodowej w Białymstoku — nawet po wykupieniu karty „dorabiała” nielegalnie, podając wysokość honorariów na 50 zł, podczas gdy w rzeczywistości miała w wielu wypadkach pobierać znacznie więcej. Stwierdzono też, że otrzymywała dodatkowo honoraria w naturaliach w postaci artykułów żywnościowych.

Wszystko to wyszło jednak na jaw znacznie później, dopiero wtedy, gdy...

TAJEMNICZY RAK

6 września 1958 r. do szpitala przybyła córka przebywającej na oddziale onkologicznym pacjentki A. M. domagając się natychmiastowego wypisania matki. Dr Kostkowska oponuje, twierdząc, że chorej dwa dni przedtem założono rad. Na karcie chorobowej widnieje rozpoznanie „rak” (do szpitala została skierowana z poradni onkologicznej, w której kierownikiem jest dr Kostkowska), brak jednak analizy badania wycinka ciała. Gdy po dwóch dniach wynik badania — jak oświadcza dr Kostkowska — nadchodzi z Zakładu Anatomii Patologicznej, pacjentki w szpitalu już nie ma. Dyrektor szpitala — jako człowiek i jako lekarz — postanawia za wszelką cenę odnaleźć chorą na raka. Znajduje ją w szpitalu

MSW, gdzie analiza stwierdza... brak zmian nowotworowych.

Specjalna komisja bada teraz historię choroby pacjentki A. M. Stwierdza ona, że wycinek zbadany przez Zakład Anatomii Patologicznej pochodził od innej pacjentki. Stwierdza ona, że wycinek ten, który był 8 września podstawą do stwierdzenia dr Kostkowskiej, iż analiza wykazała obecność raka, do analizy została wysłany 8 września z adnotacją: bardzo pilne.

To była nitka prowadząca do kłębka. Tak rozpoczęło się śledztwo.

Dokładna data procesu nie została jeszcze ustalona. Ze względu na trudności skompletowania w okresie urlopowym kompletu sędziowskiego przpuszcza się, że sprawa rozpo-

cznie się dopiero w listopadzie. Wyznaczeni już zostali oskarżyciele, m.in. prowadzący w tej sprawie śledztwo prokurator Lech Lebenstein. Bronić oskarżonej będą: wykładawca prawa karnego, prof. Śliwowski, który był z urzędu obrońcą Ericha Kocha oraz jeden z najzdolniejszych adwokatów młodego pokolenia, mecenas de Virion z Warszawy.

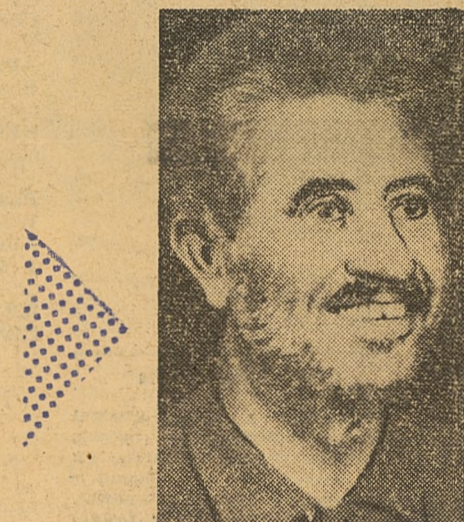
Będzie to niewątpliwie jeden z najciekawszych procesów powojennych. Dodatkowe zainteresowanie budzi pytanie czy dr Kostkowska wyjawia tajemnicę profesora Łukaszczyka: dlaczego wybitny uczyony, który tyle lat życia poświęcił walce z rakiem i umarł na chorobę popromienną — ukrył rad.

- KAZIMIERZ ELAND



Ciao-ciao bambina

Tak nazywa się film, w którym występuje Domenico Modugno — słynny już dziś na całym świecie autor piosenek i ich wykonawca. Oto para bohaterów filmu: Lorelia di Luca i Antonio Cifarillo. Treścią filmu są przygody dwóch par kochanków zakończonych happy endem.



ANEKDOTY TEATRALNE

Bilety teatralne na pół wieczoru

Taką innowację wprowadził dyrektor pewnego teatru w St. Luis w Ameryce. Gdy sztuka zmudziła widza, nie ma on potrzeby pozostać do końca; może wyjść w połowie wieczoru i udać się do kasy, a tam za okazaniem biletu zwrócić mu połowę ceny. Dyrektor ów wprowadził ten zwyczaj, chcąc zapobiec rozdrażnieniu widzów, którzy w razie, gdy im się sztuka nie podoba, stają się niebezpieczni dla aktorów, a zwłaszcza ich garderoby; publiczność ciska wówczas na scenę zgnilymi jajami, pomarańczami itd., a nadto zniechęca się do teatru. System biletów na pół wieczoru okazał się tak skuteczny, że wprowadzono go już w innych miastach zachodnich Stanów Zjednoczonych, a jesienią zastosowany będzie w niektórych teatrach nowojorskich.

„Goniec Łódzki” Nr 175 z dnia 2. VIII. 1901.

Składka na króla Leara

Jeden z najbogatszych obywateli Walii z okazji urodzin swego najstarszego syna sprządził grono aktorów z londyńskiego teatru „Lyceum”, którzy wobec zgromadzonych dzieci ze szkoły miejscowej odegrali „Króla Leara”. Dziewczęta i chłopcy z najwyższym zajęciem słuchali wzruszającej tragedii, w trzy dni zaś potem zjawił się u organizatora przedstawienia jedenastoletni Henryk Camps i oświadczył, że przybywa w imieniu kolegów.

Pan domu przypuszczał, że chłopiec przyszedł wyrazić podziękowanie, lecz zdziwił się niemało, gdy młodek wręczył mu 27 szylingów i rzekł ze łzami w oczach:

— Zebrałem to w szkole dla biednego króla Leara, któremu córki odmówiły przytulku.

„Dziennik dla Wszystkich”. Nr 96 z dnia 28. IV. 1888.

Przytomność artystyki

W jednym ze znaczniejszych teatrów paryskich dwie artystki toczyły ze sobą od dawna nieubłaganą walkę o palmę pierwszeństwa.

W dzień benefisu jednej z nich za namową rywalki przyniesiono pomiędzy rozmaitymi podarkami zakryty koszyk.

Benefisantka wobec publiczności otwiera go i wyjmuje z niego ku niemałemu publicznemu i swemu zdziwieniu baranią głowę.

Nie zmieszana ani na chwilę artystka zwraca się do publiczności z następującymi słowami:

— Dotąd ofiarowywano mi tylko kosztowności i kwiaty, lecz po raz pierwszy spotyka mnie zaszczyt, że ktoś ofiaruje mi swoją głowę. „Kurier Poranny” Nr 245 z dnia 22. VIII. 1884.

Wielkanocne jajko

O Janie Reszke opowiada Karol Esquier w „Revue Hebdomadaire” następującą anegdotę:

„Pewnego dnia jeden z proboszczów prowincjonalnych uprosił słynnego tenora o współudział w czasie wielkiej mszy wielkanocnej. Po nabożeństwie proboszcz zaprosił znakomitego artystę na śniadanie. Podnosząc serwetę, Reszke spostrzegł jajko wielkanocne z kości słoniowej we wnętrzu kryjące 500 fr w zlocie.

— Kochany księżu proboszczu — odezwał się artysta — jadłem zawsze tylko białko, żółtko rozdzielił ksiądz między ubogich”. „Kurier Poranny” Nr 184 z dnia 5. VII. 1901.

Słowa: TADEUSZ ŚLIWIAK

Muzyka: JERZY GERT

KIEDY KWITNĄ CZEREŚNIE

Świat cały poweselał dziś
obwieszcza wiosnę kwiatów woń
Drży w dłoni twojej świeży liść,
gdy tulisz, miła, usta doń.

Opadnie w sadzie czereśniowy kwiat
Pocałuj jeszcze, przytul znów
nim wszystkie kwiaty wiatr postrąca
nim zabraknie czułych słów.

Zbyt krótko w sercach naszych wiosna trwa,
strącone kwiaty kruszy czas.
Więc, aby wyznał twoich wiatr nie rozwiął,
powtórz wszystkie jeszcze raz,
Ach, powtórz wszystkie jeszcze raz!

Do opuszczonych, ciepłych gniazd
Wróciły ptaki hen zza mórz,
Lecz młodość, gdy opuści nas,
Wiem, nie powróci więcej już.
Opadnie w sadzie itd.

SYLWETKA KOMPOZYTORA:

Jerzy Gert studia ukończył w Wiedniu, w „Akademie für Musik”. W latach międzywojennych był kierownikiem muzycznym znanej wytwórni płyt „Odeon” w Warszawie, a następnie dyrygentem Filharmonii Lwowskiej.

Pierwszy jego utwór rozrywkowy został wydany i nagrany na płytach w roku 1930. W roku 1947 Jerzy Gert organizuje orkiestrę rozrywkową Polskiego Radia w Krakowie, która rychło rozrosła się do rozmiarów orkiestry symfonicznej. Jest to jedyny zespół w Polsce, który uprawia wszystkie gatunki muzyki — od symfonicznej poprzez operową i operetkową aż po muzykę rozrywkową. Znałe przedwojenne przeboje Gerta to: „Portugalskie tango”, „Granada” i in. Z powojennych m. in. popularna „Piosenka o Nowej Hucie” i „Warszawskie gołębie”.

CO TYDZIEŃ PIOSENKA

POD REDAKCJĄ LEONARZA RZEWUSKIEGO

Kiedy kwitną czereśnie

Słowa T. Śliwiak

Muzyka Jerzy Gert

Słowa: *Zbyt krótko w sercach naszych wiosna trwa, strącone kwiaty kruszy czas. Więc, aby wyznał twoich wiatr nie rozwiął, powtórz wszystkie jeszcze raz, ach, powtórz wszystkie jeszcze raz!*

UWAGA! POCZĄSZY OD BIEŻĄCEGO TYGODNIA KRAKOWSKA ROZGŁOSIŁA POLSKIEGO RADIA NADAWAĆ BĘDZIE AKTUALNĄ PIOSENKĘ „ZDARZENIE” W KAŻDĄ SOBOTĘ, OD GODZ. 18 DO 18.10.